MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 46. WARSZAWA, 10 LISTOPADA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

RZYM i KARTAGINA

NIE ZAMIERZAMY pisać dziejów wojen punickich. Pragniemy li tylko wskazać na pewne stałe czynniki, jakie tkwią w ziemi i w ludziach tę ziemię zamieszkujących i wpływają na to, że w dziejach obok rzeczy zmiennych są także rzeczy stałe. Byłoby błędem wyciągać z przeszłości wnioski co do przyszłości; nie można jednak zaprzeczyć, że dla zrozumienia teraźniejszości wielką pomocą jest znajomość historji.

*

Rzym był dziełem ludu rolniczego, zamieszkałego nad Tybrem, w miejscu, gdzie istniała dogodna przez tę rzekę przeprawa. Chłopi — jakbyśmy dziś powiedzieli — nadtybrzańscy zbudowali potężne miasto i w ciągu szeregu wieków podbili cały półwysep Apeniński. Dokonali — jakbyśmy znów dziś powiedzieli — zjednoczenia Italji pod swem panowaniem. Dokonali tego dzieła dzięki zaletom osobistym, dzięki zaletom ustroju politycznego, jaki sobie nadali i dzięki wygodom, płynącym z dobrego położenia geograficznego nad morzem Śródziemnem.

Gdy Rzymianie skupili koło siebie wszystkie ludy półwyspu, musieli dla rozwoju swej potęgi politycznej i dla bezpieczeństwa swego kraju zwrócić wzrok na morze, okalające półwysep, który zamieszkiwali, i na lądy poza tem morzem leżące. Stąd konieczność posiadania pozycji na tem morzu, jako krok pierwszy do dalszej ekspansji.

Otóż na morzu Śródziemnem w chwili, gdy Rzym postanowił wyjść poza Italję, panowała potężna wówczas Kartagina. Posiadała doskonałe położenie (w dzisiejszym Tunisie), miała swoje posiadłości w różnych miejscach na wybrzeżach morza Śródziemnego i na wyspach, doskonały port, wielką flotę i ludność znającą morze i wszystkie jego tajniki.

Spotkał się Rzym z Kartaginą na Sycylji i pierwsze starcie między dwoma współzawodnikami nastąpiło o tę wyspę (pierwsza wojna punicka 264 — 241 r. przed Chrystusem). Decydujące wypadki musiały się rozegrać na morzu, tymczasem Kartagina miała flotę, a Rzym nie posiadał ani jednego statku wojennego. Zaczął tedy Senat rzymski od zbudowania floty. Pamiętamy z historji jak flota ta, obsadzona przez niedoświadczonych w wojnie morskiej Rzymian, była niszczona, jak ją odbudowywano, jak na końcu jednak Rzymianie zostali zwycięzcami na lądzie i na morzu.

Był to jednak dopiero początek. Kartagina postanowiła uderzyć w ośrodek potęgi rzymskiej, a posiadała największego wodza i polityka owych czasów: Hannibala. Znamy wszyscy dzieje jego wyprawy do Italji — przejście Alp, zwycięstwo pod Kannami, zjawienie się u bram Rzymu, odciągnięcie od związku z Rzymem szeregu plemion iltalskich (druga wojna punicka od 218 do 201 r. przed Chrystusem). A jednak Rzym zwyciężył.

„Ogólnie biorąc" — powiada Polibjusz w księdze VI swej historji Rzymu, napisanej w II wieku przed Chrystusem — „państwo kartagińskie było pod wieloma względami podobne do państwa rzymskiego i spartańskiego. Jednak stało niżej, niż państwo rzymskie z czasów Hannibala. Bo wszystkie ciała, wszystkie rządy i wszystkie przedsięwzięcia podlegają temu samemu prawu natury. Naprzód rzeczy te rosną i powiększają się, później dochodzą do stanu doskonałości, wreszcie padają i rozkładają się. Z tych stopni drugi jest tym, w którym mają największą siłę; to tłumaczy nam różnicę między Kartaginą a Rzymem. Ponieważ państwo kartagińskie doszło wcześniej, niż Rzym do swej doskonałości, to już było się w owym czasie oddaliło od stanu tej doskonałości. Tymczasem Rzym był wówczas w stanie najbardziej kwitnącym. U Kartagińczyków panował lud, u Rzymian Senat. Tam słuchano opinji tłumu, tu zasięgano rady u najlepszych obywateli i postępowano według tego, co postanowili. Dzięki temu, choć Rzymianie byli pobici w regularnej bitwie, wzięli wkońcu górę nad Kartagińczykami".

Rzym zwyciężył i ostatecznie, po trzeciej wojnie punickiej (149 — 146), nietylko zdobył Kartaginę, lecz ją usunął z powierzchni ziemi — ludność wysiedlono, miasto zburzono, tak, że śladu po niem nie pozostało.

Zniweczenie potęgi kartagińskiej pozwoliło Rzymowi na podbój całego znanego wówczas świa-

ta, stał się on panem wszystkich krajów okalających morze Śródziemne, stał się potęgą, stworzył Imperjum, którego dorobkiem kulturalnym i cywilizacyjnym żyją po dzień dzisiejszy wszystkie narody europejskie.

*

Imperjum Rzymskie rozłożyło się wewnętrznie i padło pod ciosami „barbarzyńców". Lecz w jego ośrodku wyrosła inna potęga — Kościół katolicki — która wzięła w swe ręce władzę duchową nad ludami i państwami Europy zachodniej i stała się wychowawcą tych ludów.

Potęga polityczna Italji upadła, lecz była ona siedzibą potęgi duchowej i źródłem wielkich ruchów umysłowych i kulturalnych (średniowiecze ze św. Tomaszem z Akwinu i św. Franciszkiem z Assyżu i Odrodzenie z całą plejadą uczonych, pisarzy i artystów).

*

Przyszedł wiek XIX i jego wytwór największy — narody. Gdy świadomość narodowa i dążenia narodowe zjawiły się wśród wszystkich ludów Europy — niezależnie od tego, czy posiadały one własne państwa, czy też nie — uległ im także lud, zamieszkujący półwysep Apeniński, lud posiadający we krwi tradycje Rzymu Starożytnego.

Przyszło pokolenie, które wydało Mazziniego, Cavoura i Garibaldi'ego, i dokonało dzieła zjednoczenia Włoch, ogarniając cały naród płomiennem uczuciem patrjotyzmu i przejawami bohaterstwa... Zjednoczenie to dokończone zostało w wielkiej wojnie lat 1915—1918, gdy Włochy uzyskały granicę alpejską, gdy cały półwysep stał się jednem państwem, posiadającem granice naturalne.

Czyż można uniknąć myśli o analogji położenia Włoch współczesnych z położeniem Rzymu w połowie III wieku przed Chrystusem: po zjednoczeniu konieczność ekspansji na morzu i za morzem? Tę konieczność stwarzają dla Włoch warunki geograficzne; muszą Włosi dbać o swe bezpieczeństwo, jako kraju mającego tysiące kilometrów wybrzeża morskiego, muszą zabiegać o nowe terytorja dla umieszczenia swego przyrostu naturalnego, wynoszącego około 500,000 rocznie. Kto sądzi, że nie nakaz wypełnienia swych przeznaczeń dziejowych i utrzymania przy życiu swego narodu stanowi ich wskazania moralne, lecz dogmaty purytańskiej Genewy, ten nie wie nic o historji i jej prawach...

Na drodze do wypełnienia swej misji dziejowej spotykają Włochy współczesne W. Brytanję, podobnie jak Rzym spotkał Kartaginę. Zastrzegamy się odrazu—wskazując na to, nie mamy zamiaru wyciągać stąd wniosków co do rozwoju wydarzeń, lub co do praw moralnych dwu stron, będących obecnie w sporze. Narzucają się jednak z przemożną siłą analogje historyczne co do sytuacji dwu współzawodników.

Morze Śródziemne jest dziś—jeśli się tak wyrazić wolno — w posiadaniu Anglji. Trzyma ona w swem ręku wrota do tego morza — Gibraltar i kanał Suezki; ma oparcie na Cyprze i na Malcie, są od niej zależne Egipt i Palestyna; flota W. Brytanji ma przewagę na morzu Sródziemnem. Tego stanu posiadania Anglja wyrzec się nie może, nietylko ze względu na swój *prestige* polityczny, lecz także, a nawet przedewszystkiem dlatego, że przez kanał Suezki idą jej najważniejsze drogi morskie, których wolność decyduje o spoistości Imperjum Brytyjskiego. Nowa faza w życiu państwa włoskiego — faza morska i kolonjalna—zagraża tedy poważnie interesom Anglji. Nie można się przeto dziwić jej stanowczemu wystąpieniu przeciw Włochom. Politycy angielscy słusznie przewidują, że jest to dopiero początek, iż jeśli Włochy staną mocną stopą w Afryce, to będą dążyły i do rozszerzenia tam swych posiadłości i do stania się decydującą potęgą na morzu Śródziemnem. Z powyższego widać, że nie jest przesadą porównanie rozpoczynającego się przed naszemi oczyma konfliktu między Włochami a W. Brytanją z wielkim dziejowym sporem między Rzymem starożytnym a Kartaginą, który trwał zgórą sto lat.

STANISŁAW KOZICKI

RETORTY ŻYCIA

W ZWIĄZKU z wojną włosko-abisyńską zjawił się w „Myśli Narodowej" ciąg rozważań różnych autorów na temat prawa i siły w stosunkach narodów z narodami. Ponieważ ścieranie się poglądów, niby krzemieni w krzesiwie, w każdej sprawie iskrami umysły ożywia, więc może dobrze uczynię, gdy i ja do rozpraw owych słowo dorzucę.

Kto pod rozwagę bierze możliwość ustanowienia i stosowania prawa, któreby zastępowało wojnę pomiędzy narodami, ten na wstępie podjąć powinien jedno małe napozór, ale klucz do sprawy stanowiące pytanie: Jaki poziom umysłowy i moralny musiałby obowiązywać trybunały, które miałyby wyrokować w zatargach między narodami?

Wiadomo, że nawet dla sporów pomiędzy ludźmi poszczególnymi istnieje w sądownictwie kilkustopniowy system odwoławczy, co jasno świadczy, że prawodawstwo nie całkowitem obdarza osoby sądu zaufaniem. Tembardziej przeto zastanowić się nad tem wypada w zastosowaniu do trybunału, który rozpatrywać miałby sporne sprawy całych narodów.

Jako twory zbiorowe i metafizyczne, do gatunków zwierzęcych analogiczne, narody w dziedzinie świadomości mogą wyrażać się tylko poprzez przedstawicieli swoich — ludzi poszczególnych. Do trybunału rozjemczego nad narodami należałoby powoływać mędrców największej miary i szlachetności. O ile w danej chwili i w każdym narodzie są tacy, to jak ich odnaleźć? Plebiscyty, wybory, ankiety?... to przecie jawne wobec tego zadania nonsensy. Kto ma wyznaczać ludzi na stanowiska tak wyjątkowej wagi i powagi?

Obok niemożliwości technicznej zagadnienie natrafia na drugą niemożliwość — duchową. W zatargach między narodami gra idzie zawsze o przyszłość każdego z nich i o jej wpływ na losy życia ziemskiego wogóle — ludzkiego, lub ponadludzkiego. Gdy, w szczególności, pomyślimy o sporze między narodami jednej rasy — aryjskiej, trzeba w wyobraźni odmierzyć olbrzymią odległość, jaka

dzieli genjalną nawet jednostkę ludzką od wymaganej tu wiedzy o wartości i przeznaczeniu narodów. Kto uczciwy podejmie się sędziowania w sprawach takiej tajemniczości i doniosłości?

Wysłannikami do owego Nadtrybunału staliby się, rzecz prosta, przedstawiciele rządów, czego zacną próbę już mamy w Genewie, gdzie zasiada Liga Rządów, przez oszustwo judo-masońskie „Ligą Narodów" nazwana. Skoro tak, to cały ów sąd, rozstrzygający zatargi między narodami, składałby się z ludzi przypadkowych, przeciętnych polityków dnia bieżącego, w najlepszym wypadku — gorliwych obrońców własnych swoich krajów. Niema narodu, któryby prawo sądu nad sobą takiemu przyznał zgromadzeniu.

Sama zatem organizacja owego sądu, wiedzą i charakterem odpowiadającego postawionemu przed nim zadaniu, napotyka na przeszkody, których nikt nie pokona. Ale istnieją pono w tej sprawie dwie jeszcze i nie mniejsze niemożliwości: Gdzie są kodeksy, na których podstawie odbywałyby się sądy nad narodami? Gdzie siła zbrojna, któraby wykonanie wyroków owego sądu zapewniała?

Nie znamy sił, które kierują ruchami, życiem i zmiennością gatunków w świecie zwierzęcym, a ras, plemion, szczepów, narodów w świecie ludzkim. Wiemy tylko, że jednym z objawów wielkiego nurtu biologicznego jest walka gatunków, wojną w dziejach ludzkości nazywana. Świadome i głoszone powody wojen nie zawsze są istotnemi ich przyczynami, a obie strony wojenne nie domyślają się ukrytych przyczyn i celów dramatu, w którym uczestniczą. W wichurze wojen lecą posiewy idej, religij, kultur, cywilizacyj. Z tragedji klęsk i z burzy zwycięstw wykwita nowa forma życia. W porodowych bólach wojennych rodzi ludzkość nowe narody, a z nimi najdalszą, nieznaną, nieprzeczuwaną przyszłość człowieka.

Ktoby otóż chciał ułożyć kodeks praw, na którym opierałby się sąd nad narodami, ten musiałby znać przyszłość ludzkości i życia na kuli ziemskiej (a może i poza nią), ażeby wojny zastąpić prawami. Ale wtedy zamarłoby życie, z przyrody wolnej zniesione do wylęgarni. Byłoby to coś potwornego, a zresztą — tak niemożliwego, jak tworzenie homunkulusów. Byłoby to robienie życia w retorcie.

A wreszcie: W jaki sposób ów Nadtrybunał zabezpieczałby wykonanie swojej sprawiedliwości? Oczywiście — nową wojną... To bowiem, co w granicach państwa jest policją, w stosunkach między państwami musiałoby przybrać rozmiary wielkiej armji nowoczesnej. Uruchomiona dla wymiaru sprawiedliwości armja taka rozpętałaby wojnę powszechną... O ile wogóle mogłaby powstać i być uruchomiona, bo tu, rzecz jasna, mówimy już o szczytach niemożliwości.

Gdyby zatem, wzorem genewskiej Ligi Rządów, powstał ów wymarzony Nadtrybunał, nie byłby w składzie swoim lepszy od dzisiejszej masońskiej karykatury rozjemczej. Bez kodeksu i bez policji, a w tak mizernym składzie osobowym, byłby to sąd bez prawa i sprawiedliwość bez miecza, coś żałośnie śmiesznego, co jednak przy zbiegu okoliczności i złej woli wrogów ludzkości, mogłoby najdzikszą w świecie wywołać pożogę. Znamy przecie owych pacyfistów, co jednym tchem wołają: „precz z wojną, niech żyje rewolucja!"

Zdaje mi się, że jasno już zarysowała się tu podstawowa, techniczna wręcz niemożliwość stworzenia prawa i trybunału, któreby zastąpiły wojnę. Ale wbrew żmudnym rachunkom arytmetycznym, oraz niezbitej ich słuszności, istnieją nadal algebraiści, których ciągle uwodzą ponętne formuły ogólników myślenia i ogólników mowy ludzkiej. Ci powołują się na niedoskonałość każdych początków i na konieczność prób, a jako przykład stawiają zwykłe kodeksy praw, które walkę wszystkich przeciwko wszystkim zastąpiły przez formy pokojowe, nie czyniąc jednak z życia — retorty alchemicznej.

Błąd tego rozumowania polega na tem, że wielkość niewiadomą zrównano w niem z wiadomą. Prawa, normujące współżycie pomiędzy jednostkami, powstawały z ramienia i na rzecz społeczności realnie istniejącej, określonej i wiadomej, jak rodzina, ród, plemię i t. d. aż do narodu włącznie. Wymagania stawiane jednostkom ze strony każdej z tych zbiorowości były i są tak samo wymierne, jak wzajemne wymagania jednostek, ta przeto wymierność pozwala na tworzenie dostatecznie ścisłych praw, chroniących zbiorowe życie obywateli. Ta wymierność umożliwia zarazem każdemu obywatelowi rozpoznanie i uznanie korzyści jednostkowej w korzyści społecznej. Obywatel przez naród rośnie, jak naród przez obywatela. Ale nikt nie wie, na czyją mianowicie korzyść i z czyjego ramienia miałyby powstawać prawa, usuwające wojnę pomiędzy narodami. I to jest ów tragiczny węzeł wojny, splątany tak, że tylko mieczem wojny rozciąć go można.

W tem atoli miejscu raz jeszcze do głosu dochodzi algebraiczny (i romantyczny...) sposób myślenia, i woła: „A ludzkość!?" Trzeba zatem i tę formułę tajemniczą na mianowane rozłożyć wartości... Zbiorowe organizacje biologiczne (jak np. rodzina i naród) dopóty są żywe, dopóki służą rozwojowi jedynego w tych zjawiskach konkretu— jednostki ludzkiej. Ludzkość dawno już tę swoją czynność spełniła i zakończyła, w czasach, mianowicie, gdy w ciężkim trudzie ponad byt zwierzęcy wyrastał człowiek, jako rodzina całkiem osobliwa, bo całemu zworzu rodzimemu przeciwstawna. Kiedy jednak w swoich pniach, rasami zwanych, człowiek rozrósł się tak, że całą kulę ziemską opanował, a rasy rozpadły się na szczepy i plemiona liczne, ludzkość, jako czynna organizacja biologiczna istnieć przestała, pozostając jedynie w roli pojęcia systematyki zoologicznej (jako ludzkość, lub człowiek, *homo sapiens* w słownictwie naukowem).

Zdaje się, że od samego początku byt swój człowiek opierał na rodzinie, która też jako podstawowa komórka zbiorowości do naszych czasów przetrwała. Na rodzinie wyrastały rody, plemiona i szczepy, jako coraz obszerniejsze zbiorowe organizacje biologiczne, aż po wielu wahaniach, narastaniach i rozpadach wszystkie te (niejako) próby doprowadziły do tego typu zbiorowości biologicznej, który nazywamy narodem. Poza rodziną (jako stałą komórką zbiorowości) naród jest najdalej w przyszłość wysuniętą placówką rozwojową jednostki ludzkiej, najdoskonalszą z istniejących organizacją społeczno-biologiczną. Ludzkość należy do dawno minionej przeszłości, a ku przyszłości biegną różne i współzawodniczące z sobą narody. Nie powrót do ludzkości jest celem tego biegu!... Zaś odległość dzieląca jednostkę od ludzkości z każdem powiększa się tysiącleciem.

Wielką niewiadomą jest przyszłość, do której i we współpracy i w zmaganiach się między sobą dążą narody. Ktoby chciał zmagania te zastąpić pokojowym wymiarem sprawiedliwości, musiałby naprzód dokładnie wiedzieć, które narody noszą w sobie zaród wyższego życia na ziemi, co w granicach rasy obecnie najwyższej jest niemożliwe, a wogóle, ze względu na technikę zastosowania — doktrynersko-utopijne. Byłoby rzeczą równie „rozsądną" usunięcie z areny bokserskiej istotnych walk, a zastąpienie ich wieloma przyrządami do mierzenia siły, wytrwałości, zgrabności, przytomności i t. d. sporządzonemi. Poprzez owe teorje pokojowe, o ile są szczere, prześwieca teatralność wewnętrzna, pleniąca się zazwyczaj na przeroście intelektualizmu, prześwieca niewiara w życie, uwiąd intuicji, bezwład woli i strach przed wysiłkiem nieustannego biegu życia, biegu naprzód, w Nieznane.

Istnieli zawsze i nadal istnieć będą romantycy, algebraiści i alchemicy, przygotowujący formy życia w obłokach, w równaniach matematycznych i w retortach utopij społecznych. W naszych czasach dostarczycielką tego typu ludzi jest szkoła judo-masońska, pielęgnująca, zresztą, w nich rozsadniki własnych swoich celów ukrytych. Ludzie ci, często w najlepszej wierze, szerzą słabość i bierność w narodzie, a mają po temu środek doskonały w postaci ogólnikowości i mglistości własnego myślenia. Ogół ludzki nie wytrzymuje ciężaru i ścisłości analizy, usiłującej wnioski swoje budować w zgodzie z logiką i doświadczeniem, natomiast chętnie posłuch daje efektownym mgłom barwnym i niemęczącym, krótkim ogólnikom, krnąbrnie życiu przeczącym. To się podoba, jak dzieciom bajki fantastyczne, jak ludowi po kątach wiejskich — zamawiania znachorów.

I tym tu, zapewne, wywodom niejeden pięknoduch zechce postawić jeszcze niejedno „ale" słodkozabójcze. Nie będę narazie zajmował uwagi czytelnika żadnemi już pod tym względem przewidywaniami, na jeden tylko zarzut z miejsca odpowiem, na zarzut, który z pewnością zła wola postawi: „Oto apoteoza wojny!"

Strasznem i tragicznem w życiu zdarzeniem jest wojna — tak samo ta, z własnej woli poczęta, jak narzucona. Ale właśnie dlatego nie wolno patrzeć na nią poprzez mgły i ogólniki, właśnie dlatego trzeba poznawać wszystkie prawa, możliwości i niemożliwości, które ją otaczają. Uwodzenie narodu mrzonkami, łzawością, czułostkami, mącenie jego myśli i woli wtedy, gdy u wrót kraju stoi potworna zjawa w pikielhaubie,... to równa się lekkomyślności znachorskiej w obliczu grozy, która jasnej i twardej wymaga diagnozy.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

FRANCISZEK NOWICKI

(Ciąg dalszy)

PISZĄCY o Nowickim zwykli powoływać się na „Ognisko" jako na wyraz jego poglądów społecznych. Słuszniej jednak byłoby opierać się na tem tylko, co on sam mówił lub pisał. W jesieni 1889 r. został Nowicki obrany prezesem Czytelni Akademickiej, a obejmując ten urząd w przemówieniu wstępnem wygłosił swój program społeczny, który chciał widzieć programem całej młodzieży. Mówił zaś tak: „Dla mnie ostatnim wyrazem narodowej polskiej demokracji jest program „Przyjaciela Ludu". Streszcza się on w postulacie polityczno-społecznej emancypacji ludu polskiego"... Zalecał dalej kolegom czytywanie „Przyjaciela Ludu" (wychodzącego we Lwowie pod redakcją Bolesława Wysłoucha) i „Głosu" warszawskiego, a dalej ludoznawczych wydawnictw, jak „Wisła", sprawozdania Komisji antropologicznej Akademji Umiejętności, pisma Kolberga etc., mówiąc zaś o „Ognisku" stwierdził, że program jego za program Czytelni Akademickiej uważany być nie może. Jeśli jednak Nowicki programu „Ogniska" nie zalecał młodzieży akademickiej — a zatem, zdawałoby się, z nim się nie solidaryzował, to przecież z mętnego sposobu jego argumentacji odnosi się wrażenie, że nie uważał go za wskazany na dziś, ale słuszny jako program maksymalny, zakonspirowany między „wybranymi". W tem świetle tylko zrozumieć można niektóre jego wiersze, a zwłaszcza wiersz zatytułowany „Między dwoma brzegami":

„Odbiliśmy bracia od starych wybrzeży,
Ku brzegom sterujem my nowym —
— — — — — — — — — — — — — —
Ha śmiało! Słyszycie?... jak fala grzmi wściekła
Oddechem ruszona ludowym.

I niema już dla nas powrotu w tym biegu!
Od starej ojczyzny odlata nasz statek
Ku brzegom ludowej wolności.
Nie patrzmy za siebie!... żegnają nas z brzegu
Ojcowskie przekleństwa i gorzkie łzy matek
I sny nas żegnają młodości.
— — — — — — — — — — — — — —
Ty dumasz? Daj rękę — ha cóż to!... łza w oku?
Czy żal ci młodości? Czy lękasz się w duchu
Być synem przekleństwa i burzy?
Zadrżałeś!?... Skarż czasy, co wtedy żyć każą.
— — — — — — — — — — — — — —
Skarż czasy, lecz ludu niech usta nie skarżą,
Że myśmy starego odbiegli dlań brzegu,
A zginiem nie widząc nowego".

Przekleństwa ojców i łzy matek nie towarzyszyłyby chyba wcieleniu programu „Głosu" czy „Przyjaciela Ludu" — zatem chodzi tu oczywiście o program jakiś inny, burzący ideały dotychczasowe. Z samych wierszy Nowickiego nie możnaby go zrekonstruować, trzeba go więc odnieść do „Ogniska". W poezjach samych możnaby odróżnić rozmaite fazy: pierwsze utwory idą torami staremi; nutę patrjotyczną poruszają głównie rugi pruskie („Krzyżacy" 1885 i in.) i oburzenie na tych, co sprzedają ziemię Niemcom; wiersz „Idźcie do Monaco" zyskał w swoim czasie dużą popularność. Szlachcic polski przegrywa majątek w szulerni:

— — — — — — — — — — — — — —
„Gra; — wciąż przegrywa — resztę mienia waży...
Przegrał!... — zbladł — skoczył — szał wre mu [pod skronią —
I nagle... uczuł policzek na twarzy...
Spojrzał — wśród dymu szulerni i brudu,
Przed nim, z wzniesioną od policzka dłonią,
Stał duch Prusakom sprzedanego ludu"...

Patrjotyczna nuta brzmi także, gdy poruszy ją widok ukochanego Krakowa. Płynącego nocą na łódce Wisłą od Tyńca ku Krakowu otaczają widma przeszłości, — gniew w nim wzbiera na myśl upadku dawnej sławy, radby wkroczyć jak wódzy zwycięski na czele „armji słońca" —

„W gród ludzi trupich — i żywych kamieni,
Gdzie rasa karłów, ta rasa ginąca,
Rządzi nad ludem wielkim — berłem cieni".
(„Fragment").

Tak do sprzeciwu wzywały go najpierw stosunki uśpionego pod rządami Stańczyków Krakowa, gdzie

„Sen grzebie gniazda zbytku i ubóstwa,
W świątyniach nawet zdrzemnęły się bóstwa".
(„Rzym słowiański").

Do Stańczyków odnosi się również wiersz p. t. „Ojcowie Narodu", w którym wytyka im gorzko, że ich nie było nad trumną Kraszewskiego. — Ale ten lokalny niejako punkt widzenia uległ zmianie; przeciwieństwo uogólnione zostało na „starych i młodych", a to w formie napastliwej, niesłusznej i nieprzyzwoitej („My i wy"). Jeśli Asnyk upominał pozytywistyczną młodzież, aby, idąc za swemi ideałami, uszanowała ideały starszego pokolenia, to tembardziej miałby powód zwrócić się z tem swem upomnieniem i wyrzutem do tych neoromantyków, którzy rzekomo przeciw pozytywistycznemu kierunkowi powstali. I naprawdę ci młodzi, jeśli byli reakcją przeciw pozytywistom, to tylko w tem znaczeniu, że ton chłodny zamienili na gorący, rodowód ich ideologji wywodzi się jednak z pozytywizmu. Asnyk w wierszu „Do Juljusza Miena" znajdował wyrozumienie dla haseł „pracy organicznej":

„Żal nam poezji w pieśni i czynach
I bohaterów żal nam pochodu
Lecz ludzkość musi myśleć o synach
Ginących z głodu".

Teraz neoromantyzm typu Nowickiego chce nową poezję i nowe bohaterstwo zapalić tem właśnie hasłem, które zgasiło dawną poezję i dawne bohaterstwo. Skarży się, że „młodość ziewa u bramy żywota", nie widząc przed sobą żadnego celu, gdy „zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd dawnych", a równocześnie obwinia „popioły naszych mogilników sławnych", że one przyduszają sławą swoją wszystkie porywy młodości. Nad młodością ciąży przeszłość. Czy możnaby nawiązać jeszcze do tej przeszłości? Śnieg zasypał ścieżki, któremi chodziliśmy naszą wiosną, czy gdy słońce stopi śniegi, znajdziemy jeszcze nasz ślad zgubiony na łąkach? Ale czemuż, gdy maj na skroń ludzkości kwiaty kładzie, „my jedni myślim o listopadzie?" („Słońce w maju"). Wiersz ten chce oczywiście ponad tradycją powstań nawiązać nić z tradycją Trzeciego Maja, tradycją społecznego odrodzenia. Ale ta zdrowa myśl zjawia się tylko przelotnie. Poezję Nowickiego opanowuje wreszcie całkowicie myśl społeczno-klasowa, która wkońcu dochodzi do negacji wszystkich tradycyjnych ideałów narodowych („Między dwoma brzegami"); te ideały przepadły na zawsze, słońce dla nas już zgasło, aż wnuki wnuków naszych może „po rozruchach dziejów" ujrzą je znowu, ale będzie ono całkiem inne, niż „pradziadów słońce" („Nasze jutro"). Jakie będzie to jutro — w gruncie rzeczy niewiadomo, chociaż Nowicki nie zdaje sobie jasno sprawy, że odbijając od jednego brzegu, nie wie, gdzie jest brzeg drugi. Wystarcza mu ogólnik o ściągnięciu nieba na ziemię („Sen"). Czasem tylko nachodzi go ziębiące przeczucie niewiadomego:

„Gotycki wiary gmach
Wali, chłonie wiedza głodna,
Wstrząsa niebem myśl swobodna,
A w sercach ludzi strach.

Z przeszłości dawnych szat,
Wyskoczyła ludzkość naga,
Chłód i wiatr ją stary smaga
A nowych niema szat".

Gdy więc

— — — „nie można się odurzyć,
Czyż nie lepiej się zanurzyć
W spokojne, wieczne — nic?..."
(„Na przednówku").

Tego wniosku Nowicki nie wyciągnął. Konsekwentniejszy jest rówieśnik jego i kolega z „Ogniska" Tetmajer. Odpoznał on wyłącznie negatywną naturę programu i w zgodzie z tem, w swych młodzieńczych „Hasłach" wyznał, że gdyby nawet żadna nowa zorza nie miała błysnąć na ruinie starego świata, dość na tem, że został zburzony. A w dalszej konsekwencji tego anarchicznego stanowiska przeszedł na stanowisko antyspołeczne:

„Był czas żeśmy się rozumieli,
Ten czas przeminął, i na wieki,
A dziś mnie z wami wszystko dzieli,
Nic wy mnie dziś nie obchodzicie
Nic wasze nie obchodzi życie...
— — — To jedno boli, żeście skuci.

— — — — — — — — — — — — — —

Pieśń moja stała się dziś pieśnią
Wyłącznie tylko moją własną...

— — — — — — — — — — — — — —

Jam własnej tylko myśli mojej
Poetą..."

Na te szlaki egotyzmu Nowicki nie poszedł,— pozostał wierny tendencji społecznej.

Nie znaczy to jednak, aby ton egotyczny był mu obcy, pojawia się on w swoisty sposób... Bal, czerń fraków otacza „ją", najpiękniejszą, składa jej hołdy, ofiaruje bogactwa, zaszczyty, miłość...

„A ona — dumna — wzgardliwa dla tłumu,
Szepce do ucha swojego tancerza:
Tyś śpiewak ludu... Tyś jeden... Tyś mój!..."

Tak — aureola „śpiewaka ludu" w oczach kobiet może więcej znaczyć od kotyljonowych orderów... Ale ponury tancerz nie daje się złowić w miękkie, Armidzine sidła... On milczy...

„— — — wśród dźwięków i szumu
Inne wyznanie w ucho go uderza:
Tam dola czerni kracze nań: tyś mój!..."
(„Tyś mój").

Jakże wyraźnie słyszymy znowu znaną i ograną nutę romantycznego epigonizmu! Zmienił się tylko instrument, zmieniły rekwizyta dekoracyjne. „Przekleństwa ojców i łzy matek" mają też swoistą dekoracyjną wartość. Ale czyż mamy urągać temu wziętemu na się ze starego magazynu strojowi za to, że wydaje nam się taki nieco staroświecki? Zapewne — *sub specie aeternitatis* wygląda on trochę zabawnie, ale oceńmy go w świe-

tle danej chwili. Chwili, w której to „młodość ziewała u bramy żywota”, kiedy żarła ją nuda i niewiara. Wyjście z tego marazmu — jakiekolwiek wyjście — było czemś dodatniem i godnem szacunku. Poeta czuje się powołany w służbie idei. W smutny, szary, jesienny dzień, siedząc o zmroku w swej izdebce, wsłuchuje się w szmer deszczu za oknem:

„Cicho!... tam z dworu ktoś w szybę stuka!...
Czy wiosna wraca!?... ach wiosna nowa!?
Do szyby ciemnej dłoń czarna puka,
Puka i wzywa nas — dłoń ludowa...”
(„Wezwanie”).

Przypomina to ową chatę leśnika w „Lituanji” Grottgera. Tylko tam chodziło o co innego. A o co chodzi tutaj? Czyja to dłoń — ta „dłoń ludowa“? Jasne to nie jest. W swym programie jako prezes Czytelni mówił Nowicki o „ludzie” jako o ludzie wiejskim. Był to program „ludowcowy”. W poezjach miesza się to pojęcie z pojęciem proletarjatu; i znów niewiadomo, czy chodzi o proletarjat wogóle, czy o proletarjat chłopski. Raz wygląda to tak, to znowu inaczej. Oto więc np. „lud” jest Syzyfem, który przez wieki toczy swój kamień daremnie na szczyt góry. Jaki to kamień? Ta metafora zupełnie do legendy o Syzyfie nie przystaje. A jeszcze mniej, kiedy powiedziano, że ta wieczna, daremna praca uprawia glebę i jest dobroczynna dla ludzkości, co więcej! ona jest wszystkiem, ona stworzyła dobrobyt i kulturę. Że metafora jest nieudana, mniejsza o to, ale co znaczy teza, która się pod nią kryje? („Syzyf”). Podobna myśl w wierszu „Żebrak”, gdzie żebrak, „koń królów, budowniczy piramid, piedestał bohaterów”, bezdomny i głodny, jest symbolem pracującego ludu. To znowu we śnie („Sen”) widzi poeta lud w postaci leżącego olbrzyma, na którego piersi hulaszczą biesiadę odprawiają karły ssące jego krew. On kiedyś podniesie się, zgniecie plemię karłów, a chwyciwszy strop niebieski ściągnie niebo na ziemię... W tym symbolu widoczne jest pomieszanie pojęć: olbrzym przeciwstawiony jest karłom, jakby to były pojęcia równorzędne, podczas gdy „olbrzym” jest tu personifikacją zbiorowości. Wyższość tedy olbrzyma polega tylko na liczbie: — typowa idolatrja tłumu!... Z tego stanowiska koń wydaje się szacowniejszy od jeźdźca, piedestał od posągu, — wartości mierzy się wagą masy. Do tego zaś materjalnego ciężaru doczepia się skrzydełka idealizmu, które nie są jednak w stanie dźwignąć go wgórę, nawet wtedy, kiedy idealizm ten, egzaltując się w mesjanistyczną utopję, prawi o ściągnięciu nieba na ziemię. Niebo nie znosi gwałtu; ściągnąć się nie daje, trzeba raczej podnieść się do niego. — Mówili i romantycy o zdobyciu Jerozolimy Słonecznej, ale miało tego dokonać wojsko skrzydlate na koniach jaśniejszych od słońca... (Słowacki: „Samuel Zborowski”).

Od tej to bałwochwalczej religji z bożyszczem tłumu na ołtarzu, uciekli jedni — jak Tetmajer — zrzucając krępujące więzy społeczne, inni przezwyciężyli ją przez pogłębienie swej etycznej kultury, — a co ciekawe, wyzwolenie to podobne znalazło tony, z jakiemi występowali wprzód przeciw pozytywizmowi neoromantyczni społecznicy: i tu i tam zwraca się bunt przeciw materjalizmowi. Oto więc buntowniczy śpiew Kasprowicza:

„Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

— — — — — — — — — — — — —

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie,
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie!

— — — — — — — — — — — — —

Ty wrogu ducha! Stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy: na zwiędłem pustkowiu
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciała!“

Nowickiemu brakło siły do wyzwolenia się. Pozostał wierze swojej wierny, a gdy z jej płycizny nie można było nic już wydobyć, wyjałowiał i przestał tworzyć.

*

Społecznikowska poezja Nowickiego utonęła dziś w niepamięci. Do literatury nie wniosła ona trwałych wartości. Ale jeśli chodzi o historję literatury, to nie sądzę, aby miała ona poprzestawać na samych dziełach wysokowartościowych. Kierunek wyłącznie estetyzujący może być jedną gałęzią tej nauki, ale jej nie wyczerpuje. Historja literatury pozostaje zawsze jeszcze częścią historji kultury duchowej. A dokumenty tej historji nie muszą być arcydziełami artystycznemi ani też wielkiemi pomnikami myśli, dla głębszego wniknięcia w tworzenie się prądów duchowych często dostarczają ważnych dokumentów dzieła podrzędnej wartości artystycznej czy myślowej. Dokumentarne wartości nie pokrywają się z wartościami bezwzględnemi. Dzieje nie są dziejami samych bohaterów. Nawet dla poznania tych bohaterów, lub tych arcydzieł, potrzeba poznania tła i „aury”. Z tego punktu widzenia poezje społecznikowskie Nowickiego są wcale interesujące.

Interesujące jest więc śledzenie, jak kombinują się w nich pierwiastki romantyczne z pozytywistycznemi, jak pierwsze pozytywizują się a drugie romantyzują. Słyszymy skargę na zimny rozum, który serce ochładza, a równocześnie wysuwa się postulat „wolnej myśli” przeciw wierze, zaś w programie „Ogniska” nawet patrjotyzm ma być poddany „krytyce naukowej”! Słyszymy żal za bohaterstwem a równocześnie skargę, że prochy sławnych kurhanów tamują pochód kroczących naprzód. Gorący po dawnemu patrjotyzm — u Nowickiego rozgrzewający się w obronie kresów zachodnich, kojarzy się z ludzkościowym pryncypializmem (w odniesieniu do Kresów Wschodnich), idącym aż do abdykacji z idei państwa jako szlacheckiego narzędzia ucisku. A wreszcie oweż na gruncie przez pozytywizm uprawionym — maniery i grymasy epigonizmowi romantycznemu właściwe!: owe ponure posłannictwa, owe przyjęcia stygmatu przekleństwa na czoło — z utajonym zezem ku kobietom, jak im się to spodoba... Te dziecinne śliniaczki późnego romantyzmu pod poważną brodą „trzeźwej”, pozytywistycznej, wolnodumskiej i wszechludzkiej mądrości.

Z drugiej strony interesujące jest porównanie rozwoju różnych dusz w tej samej aurze żyjących, należących do tej samej generacji. Wskazałem już na dwa przykłady, na Tetmajera i Kasprowicza, możnaby wskazać jeszcze na Wyspiańskiego z jego reakcją na romantyzm. Toć i jemu prochy dawnych kurhanów stoją na drodze... Sądzę, że między temi wyniosłemi postaciami No-

wicki ze swemi „Pieśniami Czasu” przedstawia ogniwo odrębne, dla całości obrazu ważne, jaśniej go tłumaczące. Nie twierdzę, aby on sam to ogniwo stanowił, dość że jest jego typowym reprezentantem. Dla swej wartości dokumentarnej ogniwo to nie powinno być pominięte. Dla wartości artystycznej i ideowej dwa może wiersze zasługiwały na wydobycie z topieli niepamięci: jeden, wspomniany już okolicznościowy wiersz „Idźcie do Monaco” o mocnym akcencie dramatycznym, i drugi pod tytułem „Czarny okręt”. Pośród białych żagli dumnych naw rozmaitych narodów, pływa poszarpany burzami wrak, o masztach złamanych. Sternicy poginęli, starszyzna śpi. Pływa i nie ginie, strasząc jak upiór sumienia kapitanów innych okrętów:

„Kto go trzyma, że w mokrej nie zniknie mogile?
Tam na dnie ci z wiosłami skuci niewolnicy...
Ty czarny statku, kto są ci ludzie u spodu,
Co znojem ramion zguby powstrzymują chwilę?
O! wiem kto... to heloci mojego narodu...“

Myśl społeczna tego wiersza, ujęta w obrazową i suggestywną metaforę, opiera wartość mas ludowych na ich wartości dla narodu, a zatem na wartości duchowej. Oczywiście, jeżeli słowo „heloci” zechcemy rozumieć jako lud we właściwem znaczeniu, co wobec właściwości ówczesnej terminologji radykalizmu jest dopuszczalne.

Ale siła Nowickiego i tytuł do miejsca w literaturze leży w jego „Tatrach”, ściślej mówiąc, w jego sonetach tatrzańskich [1]). Sonety te w swoim czasie cenione były przez młode pokolenie wyżej od tatrzańskiego cyklu Asnyka, o którego niezrównanych sonetach o Morskiem Oku wyraził się Tetmajer, że są tak chłodne jak wody tego jeziora. Nowicki okrzyknięty został za poetę Tatr κατεξοχεν! — Dziś, zwłaszcza kiedy oprócz Asnyka mamy jeszcze w poezji tatrzańskiej Tetmajera i Kasprowicza, trudno nam ten sąd zrozumieć. Być może, że temperatura uczuciowa poezji Nowickiego była wyższa od posągowych w klasycznej swojej doskonałości wierszy Asnyka, choć dziś, po rozżarzonych do czerwoności tatrzańskich natchnieniach Tetmajera, nie bardzo to wyczuwamy. Tetmajer w swym szkicu „Poeci Tatr” podnosi ten moment i tłumaczy go tem, że pośród dotychczasowych poetów tatrzańskich Nowicki pierwszy zetknął się z Tatrami w dzieciństwie i wieku chłopięcym, a tego nieda się niczem zastąpić [2]). Być jednak może, że poezje tatrzańskie Nowickiego zawdzięczają bodaj po części swą popularność jego poezjom społecznikowskim. Poprostu dzięki nim stał się w kołach młodzieży popularny i ta popularność zgotowała tak życzliwe przyjęcie jego poezjom tatrzańskim. Wynikać się to zdaje z charakterystyki Tetmajera, który podnosi niezwykłość jego postaci, w której jest coś z poety, coś z apostoła, coś z trybuna i wodza. Takim był na terenie życia akademickiego.

Jeśli jednak nawet utwory społeczne przyczyniły się do popularności utworów tatrzańskich, to nie w tem znaczeniu, aby w jednych i drugich ten sam duch panował. „Tatry” nie kryją tendencyj społecznych, zaledwie odnaleźć w nich można słabe i nieznaczące tych tendencyj echa. To trzeba wyraźnie podkreślić, bo krytyka literacka wypaczyła gruntownie pojęcia o tych utworach. Mamy tu do czynienia z bardzo charakterystycznym przykładem rozszerzania się pewnych sądów i opinij siłą bezwładności: ktoś raz stworzył jakąś formułę, wedle której zakwalifikował dane dzieło, pomieszczając je w magazynie historyczno-literackim z odpowiednią etykietą, a inni przyszli do gotowego. W ten to sposób „Tatry” Nowickiego dostały etykietę utworów społecznych. Wydobądźmy tedy najpierw wszystkie elementy społeczne, które w nich się mieszczą.

(Dok. nast.) JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

[1]) „Tatry” składają się z trzech części: 1. Obrazy pustyni (16 sonetów), 2. Tragedje pustyni (5 sonetów) i 3. Echa pustyni (3 utwory o strofach czterowierszowych, wierszach 8-mio i 6-cio zgłoskowych). Tetmajer w szkicu „Poeci Tatr” mówi słusznie, że te trzy części przedstawiają linję opadającą, część trzecia do wieńca sławy tatrzańskiej Nowickiego wogóle się już nie liczy.

[2]) Nie jest to o tyle ściśle, że także już o dwa prawie pokolenia starszy ks. Maniewski mieni się „podhalaninem”; ale utwory jego, chociaż wcale do wierszokletów zaliczyć go nie wypada, pokryła niepamięć. — Franciszek Nowicki był synem prof. Maksymiljana Nowickiego, który dla badań przyrodniczych przez długi szereg lat odwiedzał Tatry i należał do najlepszych ich znawców. Z ojcem przepędzał Franciszek od dziecka miesiące wakacyjne w Zakopanem.

NORWIDJANA III

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ DRUGA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

(Ciąg dalszy)

10. [DO BR. ZALESKIEGO?]

[1867?]

Od rodaków nic nie chcę, ale myślę, że w epoce, kiedy sztuka religijna tak jest upadłą, iż biskup orleański w swoich komentarzach do encykliki woła o to, — mogą spadkobiercy narodu, któremu krzyż tylko złamany został, zapytać się, co robię? i przyjść zobaczyć i zainteresować się. Korona im z głowy nie spadnie, a dowodem tego, że moja z głowy nie spadła!

Wprawdzie nietylko epoka temu winna, alę i sztukmistrze — lokaje, luzaki, karbowi i ekonomy, durnie, bez godności i charakteru, przedpokojowcy, zapominający o tem, że wszyscy papieże przez tysiąc i pół lat umieli cenić i poważać głęboki styl sztuki religijnej, z której jest cała cywilizacja!

Racz to, proszę, czcigodnemu hrabiemu Zamojskiemu zwierzyć, a kto z rodaków chce mi zrobić zaszczyt być u mnie i widzieć, co robię, niech uprzedzi dniem naprzód, abym go przyzwoicie przyjąć mógł. Vale.

C. N.

Uwaga wydawcy: Autograf listu, bez daty i adresu, w Bibl. Jag. w dziale „Autografy". Adresat podany tu z domysłu. Br. Zaleski był w Paryżu sekretarzem Towarz. Historyczno-Literackiego i dyrektorem Bibljoteki Pol., z tego tytułu miał bliskie stosunki z jen. Wł. Zamoyskim. Wzmianka w liście o Zamoyskim pozwala nieco określić datę; Jenerał zmarł 8 stycznia 1868 r. ale już przedtem (od czerwca 1867 r.) nie było go w Paryżu. List jest z przed tego czasu.

11. DO T. LENARTOWICZA

[1868?]

— — — co o perłach rzucanych przed chlewem opiewa.

Dlatego nie piszę, ale nie myśl, abym im nie odkrył, albo zasłonił. Cóżbym za poeta był?! — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Że mię pytasz o zdanie moje co do ślicznej twej na-pół-rzeźby (wyraz płaskorzeźb jest i rubaszny i źle wytłomaczony), co do na-pół-rzeźby twej, mówię, — przeto ograniczę się na powiedzeniu, że niepodobna było w tak krótkim czasie znakomiciej rozwinąć talent, który się sam znakomitym uwidomia. Ale co twego najwięcej, to Dziewica Orleańska,— Zbawiciel w Gospodzie pod Emaus, tak dalece należący do wszystkich znamienitych w tym sensie utworów, że atomu osobistości twej, atomu niema! Wielki na-pół-rzeźb tak wszechstronnie Ghibertowski, że (atomu[1]) ciebie napotkać nie można. Wyraźnie chciałeś tego na próbę dokonać i zaiste wyjątkowej znamienitości rzecz tym sposobem dokazałeś.

Ale jeżeli pozwolisz moje objawić zdanie, to nawet dla dogmatu katolickiego niewolno duszy swej tak podesłać pod żadnego Ghibertiego, który na swój czas był wielce samoistny. Wtedy albowiem jeszcze nie znano pomników i archeologicznych źródeł, które my dziś znamy, i robiono Greków zamiast żydów.

Ale to, co główne dla ciebie, to że niepospolity talent i pracę okazałeś w tych utworach. W Świętych Pracownikach dziwnie śliczna całość i rysunek; ten jednakże duży i pełny chłop, co tak się chyli pod maleńkiemi symbolami narzędzi na ramieniu niesionych, to już wyziera mi na taki sam utwór jak *Tadeusz* Mickiewicza, wyżej skreślony.

Oni tak pracują u nas — prawda! prawda, że tak!!

Dziękuję ci, że o moich wspomniałeś cierpieniach, tem więcej, iż ja tego nie czyniłem i nikt łzy w oku mojem nie widział[2]).

Cyprjan Kamil Norwid

Daruj, nie opłacam listu; żałuję, że nie opłacam listu, ale piszę to w kawiarni o późnej godzinie, inaczej czasu nie miałbym.

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Krasińskich, rkp. nr. 5148. — Z arkusza listowego oddarto prawie całą pierwszą kartkę, zostawiając u dołu wąski strzępek zapisany; tekst z niego podany na czele, przed kropkami; reszta tekstu na kartce drugiej. Jak wolno wnosić z napomknięcia w liście, część oddarta zawierała sąd Norwida o *Panu Tadeuszu*. Zużytkowany arkusik odjęty został od jakiegoś listu do Norwida, stąd zachowany na nim adres: „Monsieur Cyprien Norwid, rue Lallier nr. 3, pres Martyrs". — List bez daty; ustalić ją można w przybliżeniu ze wzmianek w tekście. Pierwsze wykończone płaskorzeźby Lenartowicza pochodzą z r. 1867. W roku 1866 miała być jedna z nich wysłana do Paryża na wystawę (zob. Biegeleisen H., *Lirnik Mazowiecki*, 1913, s. 146); o „Świętych Pracownikach" (podobizna w *Tyg. Ilustr.* 1903, I 67) pisał Kraszewski w *Omnibusie* (styczeń 1869), jako o rzeźbie niedawno wykończonej. Norwid mówi tu o Lenartowiczu jako o rzeźbiarzu zaczynającym; w r. 1869, po wystawieniu we Florencji „Samuela", dobrze przyjętego przez krytykę [zob. *Omnibus* 1869 z. IV, s. 9] jużby to nie było możliwe. Wszystko więc świadczy, że list jest z r. 1868. Ghiberti Lorenzo (1378 — 1455), florentczyk, rzeźbiarz, twórca słynnego Battisterio.

[1]) W autografie słowo „atomu" przekreślono ołówkiem.

[2]) W autografie wykreślono jedno zdanie, trzywierszowe.

12. DO BRONISŁAWA ZALESKIEGO

[Paryż, początek października 1868]

Szanowny Bronisławie!

O dwie Cię proszę rzeczy wobec czynnego J. I. Kraszewskiego. Pierwsza, ażebyś był łaskaw mu oznajmić, że parę osób wzmiankowało mi, iż podniósł albo podjął Odę moją w *Rachunkach* swoich. Proszę, abyś chciał w tej mierze wdzięczność mu moją uprzytomnić, a to z przyczyny, iż cel, treść i forma rytmu i rymów moich, nie będąc popularnymi, mało zapewniają tym, którzy je cenią. Owszem, którzy cenią utwory moje, poniekąd się jakoby na niepopularność sami narażają. Uważam sobie przeto za powinność pamiętać im to starannie.

Dodać wszelako winienem, że jeszcze *Rachunków* nie miałem w ręku, nie czytałem i nie widziałem, i że przeto podziękowanie moje tem więcej za pośpieszne i staranne zechce J. I. Kraszewski przyjąć i uważyć. Powiedziano mi tylko tam i owdzie, że był łaskaw zwrócić uwagę na ten rodzaj zaniedbanej dziś i (pono) jedynej poezji, której ja wobec Emira Ab-del-Kader w Damaszku i wobec Jego Świątobliwości od narodu polskiego zażyć sam odważyłem się — bez mandatu.

Oto jedna rzecz. Co do drugiej, — ta jest następującej osnowy:

W Revue *L'Artiste* 1868[3]) w poszycie lutowym jest moja Sybilla, w poszycie marcowym moja Głowa Sforzy uwięzionego, dwie ryciny, które już dziś są w całej Europie i Ameryce znane; następne później przyjdą i jeszcze wydane nie są. Wedle kontraktu blachy tych rycin, aciarizowane a przeto mogące się urywać, należą do mnie. Ty ze swojej strony miewasz lub masz zawsze kilka blach leżących próżno. Tym sposobem: przed nowym rokiem jest pomiędzy artystami polskimi jakie dwanaście lub dwadzieścia blach leżących próżno! — —

Czegóż trzeba? — Trzeba jednego czynnego człowieka i mającego zarazem tę łatwość i tę popularność i tę nareszcie pewną świadomość artystyczną, które posiada J. I. Kraszewski. On, gdyby się teraz po te blachy schylił, a blachy czy to przez nie same, czy też przez nasze nazwiska, znane nieco i cudzoziemskim społeczeństwom, — uchowałby dla społeczeństwa polskiego rzeczy, których się potem nie doszukają

[3]) *L'Artiste*, Revue Européenne, redacteur Arsène Haussaye. Redaction dans la Maison Pompéienne. Paris. Nr du Fevrier, Mars, etc., 1868.

nigdzie zbiory bibljoteczne, albo Polacy nigdy ich mieć nie będą. A z dołączeniem krytycznego tekstu po parę wierszy, który to tekst Kraszewski zrobić może i nawet drugostronnie wytłumaczyć na francuski lub niemiecki, zrobiłby Kraszewski z tych przeznaczonych względem Polski na zatracenie blach bardzo zasługujący na uwagę Album przed nowym rokiem. — Wielkość? Radziłbym tego arkusza, co Twój średni pejzaż; moja Sybilla i Sforza byłyby razem na jednym arkuszu innej karty. Innych mogłyby być trzy lub cztery razem. Cena? Przecież każdy z nas zaczekałby, jak to pójdzie, jak się zrealizuje.

Są więc tylko wszystkie główne rzeczy zrobione i czekające. — A w takich razach kiedy ludzie nie pełnią i nie uskuteczniają, — to przyznaj: czy warci są czegokolwiek?...

Zapewne, Kraszewski miałby także co robić: 1° udzielić wszystkim wybraną z danych miarę papieru, 2° obmyślić całość tekstu, 3° może nawet zamówić jedną jaką brakującą mu do całości blachę, 4° porozumieć się z edytorem, etc., etc.... ale byłaby rzecz służąca jako pomnikowy znak pochodu sztuki.

Proszę, aby w nr. lutowym na jednej z ostatnich kart de *L'Artiste* poszukał J. I. Kraszewski, jak francuskie, nieznane mi osobiście pióro streszcza krytykę całego mojego stylu i sensu artystycznego. Jest to z tej przyczyny zasługujące na uwagę, że tam mowa nie o jednej jakiej pracy, ale o całem twórstwie człowieka. Nigdy tak mię polska krytyka nie oglądnęła.

Racz to wziąść na uwagę i przyjm wyrazy przyjaźni i mego głębokiego poważania.

Cyprjan Norwid.

Nr. 3, rue Lallier, près Martyrs
Paris. 1868.

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Jag. w zbiorze korespondencji J. I. Kraszewskiego. Widać, Br. Zaleski zgodnie z intencją autora odstąpił Kraszewskiemu list wraz z inicjatywą wydawnictwa. Projekt Norwida nie został zrealizowany. Br. Zaleski wydał tego roku sam Album akwafort z Ruysdaela (Chefs d'oevre de Jacob Ruysdael, notice et [5] eaux—fortes par... Paris, Libr. du Luxembourg [1868]).

W *Rachunkach z r. 1867* (Poznań 1868, II 80 n.) umieścił Kraszewski, poprzedzający ją słowami uznania, „piękną odę" C. Norwida do Piusa IX *Encyklika oblężonego*. Datę listu można określić bliżej ze związku z następnym datowanym; jest on wcześniejszy od tamtego, a zatem z przed 15 października.

O artykule w *L'Artiste* 1868 r. zob. M. N. 1935, nr. 22 Blado „aciarizowane" z (z włosk. acciaiare) utrwalone.

12. DO BRONISŁAWA ZALESKIEGO.

[Paryż, 15 paźdz. 1868].

Drogi Bronisławie

Jeśli za stosowne uznasz, ale nie według ceremonjału, jeno według istoty rzeczy, to J. I. Kraszewskiemu załączyć możesz.

Że gdyby kto chciał wysilonego spółpracownika do rzeczy kontynuacyjnych a umarłych, owszem, pogwałconym i wywrotnym robionych sposobem, znanych za jałowe i celowi i naturze swej wstecznych, znalazłby takowego śród rodaków i nazywałoby się to poświęceniem i byłby takowy podpierający rzeczy walące się z wiedzą, że są walące się, i z tak zwaną pokorą. I czyniłby i milczałby i cierpiałby i łgałby a robiłby.

Ale gdybyś nowy promień czynności społecznej zalecił narodowi, który żadnego rzemiosła swego swoją metodą i swym rytmem uwłaszczyć sobie nigdy nie umiał, tedy... nie znalazłbyś ani jednego wyznawcy śród tych męczenników. Zaś wiadomo każdemu obeznanemu z elementarnemi historji rzeczami, co jest męczeństwo bez wyznawstwa? — czyli że jest zero, O!... zero O... O, choćby krwią napisane, ale zero, O!!

Tak samo jest i z myślą zrobienia dorocznego albomu dorocznych sztuki polskiej archiw. Narody wszystkie po kilka lub kilkadziesiąt miljonów franków dają rocznie i nierocznie, aby dorość czemś w obliczu prac sztuki i zająć swoje miejsce owdzie. Naród polski nietylko że nic a nic dla sztuki swej nie zrobił, ale nawet skoro lat temu kilkanaście podniesiono myśl konieczności rozwinięcia własnej sztuki i właściwych sobie o niej pojęć, zaszła polemika z doktorem Klaczko (*Sztuka polska*, Klaczko, Paryż), który w imię patrjotów utrzymywał i głosił, że Polacy sztukmistrzów nie mogą mieć. Czemu gwoli C. N. (*O sztuce*, C. N. Paryż) inaczej to zapowiedział. Słowem, że lat temu kilkanaście można było jeszcze mniemać, że się jest złym patrjotą, głosząc i prosząc i wnosząc, iż trzeba rozwinąć własną rzecz o sztuce i własne metody wyrobić.—A skoro to przeszło, — to i przeszło, i koniec. Wszędzie na świecie spomnianoby przynajmniej o tem,— u nas? Nie powiedzą ci „Bóg ci zapłać", ani „niech cię djabli wezmą,—to ty wiedziałeś, co robiłeś, to ty miałeś sens rzeczy w ręku". I nie powiedzą ci na to, aby skoro znów powiesz, co dalej robić, ...żebyś znów czekał lat kilkanaście, aż znów się to sprawdzi, i aby nikt nigdy nie mogąc misji swej zawdzięczenie prowadzić, skończył na tych tylko biblijnych słowach: że nie można pereł rzucać tam, gdzie soczewicą Ezawa handlują i gdzie ją sprzedają, bo oni ją za perły, a perły za soczewicę wezmą.

Lecz jeśli chcesz, aby podpierać z wysileniem ostatka możliwości ludzkich spróchniałe jakie organa, o, to i owszem, ...owszem;—będą do szczętu podpierać i kłamać, że to stoi, i czując poświęcenie swoich osobistych sił, nie pojmą tytaństwa celu.

Fuimus,... byliśmy kiedyś, bo w czasie być nie śmiemy (to jest, nie śmiecie być wy!) Fuimus!... Troia fuit... salus una victis — nullam sperare salutem.

Cyprjan Kamil Norwid.

1868, octobre.

Jeśli niema *L'Artiste*, Fevrier et Mars 1868 w Dreźnie, to jest w Lipsku, a jeśli trzeba kupić, to najlepiej kupić, ...nie straci się na tem,— można kupić.

[Adres:] Monsieur Monsieur Bronislas de Zaleski, Bibliothèque Polonaise, 6, Quai d'Orléan. Paris.
[Stempel]: Paris-Batignolles, 15 Oct. 68.

Uwaga wydawcy: Autograf z tegoż zbioru co i list poprzedni. Z listu widać rozdrażnienie, spowodowane najwyraźniej odmową Kraszewskiego. O pracach Norwida i o ich ocenie w *L'Artiste* Kraszewski wiedział i wspomniał w *Rachunkach z r. 1868* (Poznań 1869, s. 828): „Norwid kaprysi... i maluje, rzeźbi, wyżera na miedzi, odbierając mnogie oklaski od Francuzów". Tamże pochlebne zdanie o sztychach Br. Zaleskiego.

GŁOSY

O AUTORYTET KSIĘDZA NA WSI

Z powodu artykułu Karola Stefana Frycza: „Wiejskie problemy“ („Myśl Narodowa“ Nr. 44 b. r.) otrzymaliśmy uwagi następujące:

PAN Karol Stefan Frycz w artykule: „Wiejskie problemy, rozwodząc się nad przyczynami upadku dotychczasowych autorytetów wiejskich, jakiemi byli: nauczyciel, dwór, i ksiądz, tak pisze o tym ostatnim: „Nie jest dziś autorytetem i ksiądz, bo zraża do siebie ludność interesownością i chciwością — wieś jest bierna i potrzebuje ewangelicznych ludzi”. Brak tych ewangelicznych ludzi upatruje autor w tem, że „seminarja duchowne zapełniają chłopi, nie tyle *propter Jesum*, ile *propter esum*, że, synowie chłopscy garną się tam przeważnie dla karjery, w sukience duchownej widząc nie oznakę szczytnej służby Bożej, ale środek do wydźwignięcia się. Jasna rzecz, że ten chłopski kler tak niewysokiej na ogół próby, nie może mieć wśród swoich wielkiego poważania — przeciwnie, nieraz otoczony jest pogardą. „Krew pańska” jest zaszczyt przed gminem i rzadki dziś ksiądz z „panów” ma tysiąc razy większe apostolskie możliwości i, na ogół licząc, tysiąc razy lepiej je spełnia”.

Tyle dosadnych zdań wypisał p. Frycz pod adresem księdza ze wsi i pracującego na wsi. Czy nie dałoby się nieco ich złagodzić? Ano sprobuję.

A więc naprzód co do pochodzenia. Prawdą jest, że z małemi wyjątkami, dzisiejsi księża to synowie chłopscy. Dlaczego tak jest? dlaczego z wyższych sfer nie garną się do seminarjów duchownych? Mielibyśmy wtedy więcej takich księży Lutosławskich, więcej takich ojców Woronieckich, lub Rostworowskich, a gdyby ich było więcej, musieliby pójść i na wieś, podnosząc tam autorytet księdza, który tak rozpaczliwie nisko stoi, zdaniem p. Frycza. Otóż tu jest sęk — w tej wyższej sferze niema powołań, i znowu pytanie: dlaczego? Ano tak widocznie zawsze było, skoro sam boski założyciel Kościoła nie z pośród uczonych faryzeuszów i nie z pośród bogatych saduceuszów, lecz z gminu, z pośród ubogich rybaków galilejskich, pierwszych swoich współpracowników powołał. I czyż dla karjery poszli oni za Nim? I czyż gardzono ich apostolstwem dla ich niskiego pochodzenia? Chyba tylko faryzeusze i saduceusze, którzy samemu nawet Chrystusowi darować tego nie mogli, że był synem cieśli.

Ale czemu to przypisać ten brak powołań po naszych dworach i wogóle wśród inteligencji, gdy tak liczne są one pod strzechą wieśniaczą?

Czy czasem nie temu, że matka-chłopka, sama pobożna i w rzeczach wiary zamiłowana, tego synka swego od maleństwa do tego stanu sposobi, biorąc go często do kościoła, gdzie on nabiera pociągu i zamiłowania w pięknie służby Bożej i ten właśnie pociąg i to zamiłowanie wzrastają w nim z latami, aż wkońcu sprawiają to, że przywdziewa on sukienkę duchowną, wcale nie myśląc o karjerze... Tak przynajmniej było z piszącym te uwagi i tak jest — wierzę w to mocno — z ogółem moich współbraci-kapłanów — o wyjątkach przecie się nie mówi. Natomiast gdzie ma nabrać tego powołania dziecko pańskie, którego matka słucha nabożeństwa przez radjo, a ojciec spędza święta i niedziele przy zielonym stoliku lub na polowaniu?...

Jeżeli się zdarza jednak, że taki pański synek wstępuje potem do seminarjum, to (mówię to na podstawie długoletniej obserwacji) właśnie myśl o karjerze tam go najczęściej kieruje — wszak nader rzadki bywa wypadek, żeby ksiądz-hrabia lub książę, nie został wkońcu biskupem.

Jak tedy widzimy, chłopskie pochodzenie większości księży jest zjawiskiem całkiem naturalnem, z tradycją Kościoła zgodnem i, powiem, prawie koniecznem, boć niepodobna Kościołowi na „krew pańską” czekać. Chodzi tylko o to, czy istotnie to chłopskie pochodzenie księdza obniża jego powagę wobec ludu? Otóż z całą pewnością twierdzę, że nie. Lud nasz nie docieka się rodowodu księdza, lecz patrzy jedynie na jego godność kapłańską, którą za najwyższe uważa dostojeństwo i ani pan ze dworu, ani pan z kancelarji, niema dla niego takiej powagi, jak Ksiądz — Jegomość — Dobrodziej, a to, że on synem gospodarza, to tembardziej go szanują, bo to im pochlebia — „to nasz ksiądz, to rodak nasz” z dumą powtarzają.

Ale p. Fryczowi nie dość było podkreślić chłopskość kleru, niewysoką jego próbę, a stąd i pogardę u ludu, lecz poszedł on jeszcze dalej i chwycił się tego, najbardziej dziś drastycznego, argumentu, którym skrajna lewica zawsze operowała, a dziś tembardziej operuje: „zdzierstwo księży”. Mówi on o 70 złotych, wymaganych za pogrzeb, przy dzisiejszej nędzy wsi...

Jakgdyby bez tych 70 zł. nie chciał nikogo pochować, a tymczasem chowa on dziś przeważnie za minimalną opłatą, często *gratis*, a jeżeli na kredyt, to wychodzi na „wieczne oddanie”, a wszelka bieda i nędza o plebanję naprzód otrzeć się musi, a ciężary parafjalne, jak ubezpieczalnia, składka ogniowa i t. p. na jego kark spadają... Ale o tem wszystkiem nic widocznie p. Fryczowi nie wiadomo — widocznie informował się on u tych, którym nigdy ksiądz nie dogodzi, a tacy zawsze się znajdą.

Chwała Bogu jednak, takich jest niewielu i na wsi wogóle nie jest tak źle, jak p. F. opisuje. Młodzież wiejska nie jest „bardzo niewierząca”, „nieprzesądna”, a lud w masie swej zdrowy jest i religijnie i moralnie i politycznie nawet, czego dowodem choćby ostatnie wybory, gdzie nauczyciel do urny naganiał, a pan ze dworu własnym przykładem pociągał, lud jednak na księdza patrzał i do urny nie poszedł. Jest tedy jeszcze jeden autorytet na wsi, Szanowny Panie Frycz, a jest nim właśnie ksiądz, pomimo wszystko, co o nim w swoim skądinąd znakomitym artykule napisałeś!

Ks. prałat P. KRYSIAK

Na list powyższy p. K. S. Frycz nadsyła nam następującą odpowiedź.

Z prawdziwą radością przeczytałem ten właściwie przeciwko mnie wymierzony list księdza prałata Krysiaka, bo z niego widać, że moje uogólnienia w każdym razie Podlasia nie dotyczą, że można jeszcze dzisiaj rzeczowo i spokojnie pole-

mizować. Czemprędzej więc korzystam z tej coraz rzadszej okazji i w paru przynajmniej słowach spróbuję bronić mych poglądów.

Zacznę od końca. Ksiądz prałat pisze, że jest jeszcze na wsi autorytet księdza. Może, — ale ja odniosłem wrażenie, że poprostu w ogólnej ruinie autorytetów ten autorytet najmniej jeszcze stosunkowo stracił i trzyma się raczej resztką znaczenia. O ile dwór i nauczyciel są conajwyżej swojemi cieniami pod tym względem, to ksiądz wyszedł o wiele bardziej obronną ręką i rzeczywiście coś znaczy. Ale taki szczątkowy autorytet to jest stanowczo zamało i to nie może nam wystarczyć. Ksiądz musi mieć z powrotem prawdziwe władztwo dusz!

To sprawa ogólna. Bardziej osobistą jest sprawa moich informacyj; otóż nigdybym nie śmiał stawiać tak ciężkich, pewnej części kleru, zarzutów na podstawie tylko jakichś zasłyszeń, czy plotek. Posądzeniem mnie o to, przyznam, że się czuję dotknięty, bo taka lekkomyślność graniczyłaby z oszczerstwem i dlatego to co o „zdzierstwie księży" napisałem, to napisałem z własnej obserwacji. Fakt domagania się siedemdziesięciu złotych za pogrzeb nie doszedł mnie jako jakaś odległa, przekręcona plotka, ale znam dobrze tego księdza, co tej sumy żądał, tego gospodarza i tę wieś gdzie to miało miejsce. Oburzyło mnie to do żywego i dlatego ten fakt zamieściłem. Nie pisałem więc nic lekkomyślnie, a choć nie wiem, jak jest na Mazowszu i Podlasiu, to w tych stronach, gdzie ja bywam (woj. Kieleckie i Łódzkie), jest bardzo kiepsko, między ludem dużo jest obojętnych, a między księżmi nie brak niewzorowych. I znowu dodam, że nie ośmieliłbym się stosunków z jednej, czy nawet i dziesięciu parafij tak uogólnić, bo to znowu graniczyłoby z oszczerstwem.

Wreszcie o „krwi pańskiej". Rzeczywiście jestem jej zwolennikiem, ale bynajmniej nie przez jakieś klasowe uprzedzenia do chłopów, a tylko znowu z obserwacji: widząc postępowanie jednych księży i drugich i stosunek ludu do nich. Powołam się tu też na to, że gdy rozmawiałem na ten temat z jednym wiele obiecującym księdzem, i to właśnie z ludu, on szczerze przyznał mi rację, mówiąc sam, że całe zło jest w tem, iż dziś zamało jest księży z „panów" i że ksiądz-chłop ma nieraz trudniejszą sytuację i większą pracą musi wieś sobie zjednać. Nie posądzam go zaś o to, by mówił tak tylko przez jakąś grzeczność dla mnie, zresztą później miałem możność sprawdzenia sobie tego przez porównanie.

Oczywiście, że lud już dla samej swej liczebności musi zapełniać seminarja, ale źle jest gdy je zapełnia wyłącznie [1]), — a co do pobudek to są one najrozmaitsze. Bezsprzecznie, że źli księża są wyjątkami, ale tych wyjątków jest stanowczo zadużo i dlatego nie zawahałem się uderzyć na alarm, przez co może zbyt gorący ton artykułu. Ale pisząc tę ostrą prawdę (bo przy tem obstaję) czyniłem to w dobrej wierze i słów wyrzeczonych w zasadzie nie cofam, bo lepsza wydaje mi się ta droga napiętnowania zła, niż ukrywanie przykrych faktów. Lepsze jest chyba takie moje wystąpienie, niż wykorzystywanie tych samych rzeczy w celach wrogich katolicyzmowi przez nieprzyjaciół Kościoła — przy równoczesnem ich obwijaniu w bawełnę i tuszowaniu przez jego zwolenników. Przecież to chyba najgorsza droga.

KAROL STEFAN FRYCZ

[1]) Tu przy okazji napomknę, że o ten artykuł zostałem też zaatakowany i przez „Głos Narodu". Zastrzeżono się tam, że stan duchowny nie może być niczyim monopolem, — ależ to całkiem moja teza, mnie o to właśnie chodzi. Nie wiem też poco zrobiono jakieś wykrzykniki, przytaczając moje słowa, że „wieś widzę z dworu". Cóż w tem jest złego? Czy to złe miejsce obserwacyjne, zwłaszcza dla obserwowania ziemian czy księży? Czy zresztą, będąc we dworze, jest się całkiem odciętym od gromady?

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Powieść Jana Wiktora p. t. „Orka na ugorze" wydana świeżo nakładem Książnicy Atlas (Lwów—Warszawa) należy do modnego dzisiaj rodzaju powieści chłopskich, konkurującego na rynku księgarskim z innym równie modnym rodzajem, mianowicie rodzajem powieści proletarjackich. Akcja powieści rozgrywa się na Podhalu, w oddalonej od ośrodków cywilizacyjnych, ubogiej wiosce góralskiej, która wprawdzie posiada na głównej swojej ulicy oświetlenie elektryczne i która wprawdzie zdobyła się na nowocześnie urządzoną szkołę, w której jednak chałupy oświetlane są przeważnie staroświeckiem łuczywem, a ludzie pogrążeni są przeważnie w ciemnocie. Praktykują gusła i zabobony, borykają się z twardym losem, zwalczają się i nienawidzą wzajemnie, cierpiąc srogą nędzę. Autor, bystry obserwator, doskonale rysuje typy zabobonnych bab i ciemnych chłopów, uprawiających czarownictwo. Głównemi figurami utworu są: młoda, ideowa nauczycielka, która z zaparciem się siebie krzewi wśród ludu oświatę oraz jej wychowanek, sympatyczny łobuziak wiejski — Alojzy Malinowski, przedstawiciel najmłodszego pokolenia chłopskiego, które przechodzi przez szkołę polską i—daj Panie Boże — przyczyni się w przyszłości do rozproszenia ciemnoty umysłowej podhalańskiego ludu. Do najbardziej interesujących rozdziałów powieści należą: znakomicie opisana scena wizyty chorej matki Alojza Malinowskiego u wiejskiego czarownika-uzdrawiacza, dalej scena, w której pokrzywdzony przez rodzinę gospodarz, sąsiad Alojza, pali przed przydrożną kapliczką Chrystusa Frasobliwego trzy świeczki na tę intencję, aby rodzina jego „skapiała" i wreszcie scena, w której mały Alojz Malinowski zdobywa dla chorej matki bułkę pszenną, dając w zamian za nią szkolnemu koledze trzy pajdy chleba z masłem. Autor odmalowuje jaskrawo i dosadnie stosunki pedagogiczne w szkolnictwie podhalańskiem, nie szczędząc zasłużonych cięgów biurokratycznym kierownikom szkół, którzy utrudniają pracę nauczycielom, zmuszając ich do pisania niepotrzebnych nikomu do niczego „referatów" i sprawozdań. Kapitalnie udał się p. Wiktorowi wizerunek wizytatora szkolnego, który przyjeżdża do zapadłej wsi na wzorową lekcję gimnastyki i każe drybrasom pod wąsem wykonywać (na głodno) ćwiczenia odpowiednie dla dzieci z freblówki. Powieść p. Wiktora zaleca się właściwym temu pisarzowi dobrym stylem literackim. (W.)

*

Ukazała się interesująca praca T. Modrzejewskiego „Wyrazy, które umarły i które umierają", 1935, Warszawa. F. Hoesick, str. 200, z przedmową autora.

Nie jest to słownik staropolski w ścisłem znaczeniu, tembardziej, że na to jest rozmiarami zbyt szczupły. Możnaby postawić także pewne zapytania w sprawie kryterjum, wedle jakiego autor zebrał skrzętnie i rozsegregował materjał, obficie czerpiąc z potocznego zasobu leksykalnego. Jednem słowem—jak stwierdzić zgon wyrazu, skoro on często odzywa się w dziełach wielkich pisarzy? Ile ich wskrzesił sam Żeromski?!

Ale, pomijając być może, szkolarskie wątpliwości, należy przyznać publikacji podręczną użyteczność nader przystępnego informatora, mówiącego o wielu zapomnianych wyrazach i zwrotach.

Mam też wrażenie, że dziennikarski temperament chwytania życia na gorąco, gruntowna znajomość, panujących współcześnie, zwłaszcza w warszawskiej społeczności, stosunków oraz zmysł satyryczny — wszystko to pozwoliło Modrzejewskiemu, znanemu skądinąd i popularnemu poecie, zebrać, pod pretekstem znaczeń, wychodzących z użycia, wyrazów, i dla potomności ocalić wiele ciekawych rysów obyczajowych.

Mamy więc przed oczyma nie wyłącznie suchy produkt dyscyplin naukowych, ale — w większym daleko stopniu — tryskający życiem, niekiedy i humorem, raptularz czy też *silva rerum*.

Sympatycznym rysem u autora, należącego do starszego, przedwojennego pokolenia pisarzy, jest pewien niezależny ton i rozmach, ot, choćby w takim drobiazgu, jak ów stały zwrot w objaśnieniach rzeczowych: „za czasów okupacji rosyjskiej"—nie zaś, powiedzmy — za panowania Mikołaja II-go czy coś w tym guście.

Czytelnicy miłej i kulturalnej pracy, sądzę, oczekiwać będą uzupełnień albo i nowego, powiększonego wydania.

(ST. J.)

TEATR

„KORDJAN" — W TEATRZE POLSKIM

WZIĄWSZY sobie widocznie głęboko do skruszonego serca gorzkie uwagi pewnych recenzentów, którzy przed paru tygodniami mieli wdzięczną okazję schlastać surowo pana Leona Schillera de Schildenfelda za wystawienie szekspirowskiego „Króla Lira" na kręcącej się w kółko karuzeli, czyli za nadużywanie sceny obrotowej — naczelny inscenizator Teatru Polskiego postanowił się poprawić, scenę obrotową unieruchomił i wystawił dla odmiany „Kordjana"— w klatce. Właściwie nietyle może w klatce, ile raczej w klatkach, klatki bowiem i klateczki pokazano nam na scenie rozmaite. Większość znakomita odsłon uroczego poematu Słowackiego rozgrywa się w klatce schodowej, scenę bowiem polecił pan Schiller dekoratorowi przeistoczyć w olbrzymi, zabudowany wielopiętrowemi kondygnacjami schodów westybul, oświecony, rzecz prosta, różnokolorowemi smugami jaskrawych reflektorów. Scenę w szpitalu warjatów zainscenizowano dla rozmaitości (*varietas delectat*) w olbrzymiej klatce menażeryjnej. W klatce godnej mamutów przedpotopowych, albo zgoła jakowychś mioceńskich dinosaurusów. W odsłonie owej, mówiąc nawiasem, dekoracja i inscenizacja była jeszcze stosunkowo najznośniejsza, najwłaściwsza, najlepiej z tekstem utworu sharmonizowana. Gorzej znacznie wypadły sceny inne. Naprzykład scena koronacji cesarza Mikołaja na króla polskiego. Dla uświetnienia owej historycznej uroczystości polecił pan Schildenfeld-Schiller wybudować na Placu Zamkowym, u stóp Kolumny Zygmunta coś w rodzaju podziemnego „szaletu". (Tak się to w Warszawie nazywa). Do owej podziemnej instytucji użyteczności publicznej sprowadzono po schodach cały orszak koronacyjny, kapiących od złota biskupów, błyszczących haftami dygnitarzy, szamerowanych generałów i tam właśnie, a nie gdzieindziej, kazano monarsze przysięgać na wierność konstytucji. Słowacki nienawidził Mikołaja. To prawda. No, ale tak dalece, jak to uczynił pan Schiller, w nienawiści do cara się nie posunął. Prawdopodobnie przez nadmiar patrjotyzmu pan Schiller postanowił niedopuścić wielkiego księcia Konstantego do królewskich komnat zamku warszawskiego. Uznał za daleko właściwsze, żeby ów nienawistny satrapa kłócił się ze swym cesarskim bratem, zamiast w zacisznym gabinecie — poprostu na schodach. W tym celu służba teatralna ustawiła w westybulu zamkowym olbrzymie pozłacane biurko i olbrzymi, pozłacany tron. St. James-park londyński umieścił pan Schiller z niewiadomych powodów — na pierwszem piętrze. Na tej samej wysokości ponad poziomem morza zainstalował również wierzchołek Mont Blanc'u. Podczas parady wojskowej na placu Saskim kazał szeregowi wojska musztrować się na kolumnowym krużganku, pod którym znajduje się obecnie grób nieznanego żołnierza. Fakt, że kolumnada owa za czasów Mikołaja w pałacu Saskim jeszcze nie istniała — został przez pana Schillera zlekceważony. Publiczność warszawska — jak się od pana Schillera dowiadujemy — chodziła po mieście za czasów wielkiego księcia Konstantego najchętniej w białych koszulach i czarnych opończach — jednem słowem w takim stroju, jaki tradycyjnie wkłada na siebie aktor grający Konrada w trzeciej części „Dziadów". W bajronicznych koszulach (*à la* Słowacki) paradowała — według pana Schillera — ludność stołeczna w dniu koronacji zarówno na Placu Zamkowym, jakoteż w podziemiach świętojańskiego kościoła. Bardzo odpowiedni ubiór, zwłaszcza dla spiskowców, którzy udając się do katedry—rzekomo na nabożeństwo—starają się wyglądać jaknajmniej ekscentrycznie, żeby nie wpaść w oko wypatrującym ich szpiclom policyjnym.

„Kordjan" wydał się panu Schillerowi utworem tak mało poetycznym, że znakomity reżyser poświęcił stosunkowo najmniej uwagi sposobowi, w jaki aktorzy wygłaszają wiersze. Właściwie nikt z artystów, biorących udział w przedstawieniu (oprócz może jednego grającego drobniutką, epizodyczną rólkę Węgrzyna) nie potrafił należycie roli swojej wydeklamować.

Aby dodać widowisku odrobinę brakującej mu widocznie, zdaniem pana Schillera, poezji —uzupełniono przedstawienie numerem nadprogramowym. Po scenie rozstrzelania nie zapadła odrazu kurtyna, lecz na *proscenium* wystąpił jeden z młodszych artystów udrapowany w purpurowy płaszcz i wydeklamował ni stąd ni zowąd kilka wierszy wyrwanych z.. „Lambra". Poczem dopiero zasłonięto scenę dwiema płachtami, czerwoną i białą, które razem utworzyły coś w rodzaju kolosalnej flagi państwowej. Dlaczego to uczyniono? Ani rusz nie podobna się domyśleć. Może to była manifestacja lojalności T. K. K. T. wobec rządu p. Kościałkowskiego?

W przerwach pomiędzy poszczególnemi odsłonami odzywała się orkiestra. Najczęściej grano karykaturalną przeróbkę „Warszawianki" w tonacji minorowej. Czemu mianowicie „Warszawianki"? Znowu zagadka nie do rozwiązania. „Warszawianka" grana w sztuce, której akcja dzieje się przed powstaniem listopadowem — to oczywiście anachronizm. A może to była jakaś mętna, niewyraźna, aktualna polityczna aluzja? Hm. Hm. Obwiepolski hymn młodych śpiewa się również przecież na nutę „Warszawianki".

Na czwartem z rzędu przedstawieniu „Kordjana" ilość aktorów była przynajmniej czterokrotnie większa, niż ilość widzów.

Zdaje się to zapowiadać rychłą zmianę repertuaru w teatrze Polskim. Podobno po „Królu Lirze na karuzeli" i po „Kordjanie w klatkach" zobaczymy „Nieboską komedję na trapezie". S. J. G.

„ŁAŃCUCH" w T. NOWYM.

TEATR NOWY wystąpił pod koniec ubiegłego tygodnia z premjerą pięcioodsłonowej sztuki pani Janiny Morawskiej p. t. „Łańcuch". Tytuł tej sztuki nie ma absolutnie nic wspólnego z modnemi do niedawna w Warszawie, obecnie zaś zakazanemi podobno przez policję t. zw. „łańcuchami szczęścia". W sztuce p. Morawskiej idzie o zupełnie co innego. Mianowicie o łańcuch losu, wiążący cierpienia i winy jednych pokoleń z cierpieniami i winami pokoleń innych.

Pewną panią zdradzał mąż. Wracał od kochanki do domu około trzeciej nad ranem. Z tego powodu zdenerwowana małżonka chwyciła którejś nocy rewolwer i wiarołomcę zakatrupiła.

Oto jest pierwsze ogniwo łańcucha.

W dwadzieścia lat później córkę owej pani zdradza mąż. Wraca od kochanki do domu około ósmej nad ranem. Z tego powodu zdenerwowana małżonka... grozi mężowi że go zamorduje.

Oto jest łańcucha ogniwo wtóre.

Kucharkę owej pani, której matka przed dwudziestu laty zamordowała męża — zdradzał niegdyś mąż. Wracał od kochanki do domu nad ranem. Kucharka chciała go zamordować, ale nie zdążyła, bo uciekł. Widząc, że jej chlebodawczynię mąż zdradza — kucharka postanawia ją pomścić i usiłuje otruć krzywdziciela oraz jego kochankę przy pomocy czarnej kawy zaprawionej weronalem.

Oto jest łańcucha ogniwo trzecie.

Pięć odsłon tragedji zawiera, poza opowiedzianemi powyżej, mnóstwo innych okropności, które wbrew intencjom autorki przyjmowane są przez publiczność nie ze zgrozą bynajmniej, lecz z uśmiechem.

Pani Janina Morawska wydaje się nam być z temperamentu literackiego — urodzoną bajkopisarką. Świadczyłby o tem jej dotychczasowy dorobek twórczy, w którym posiada ona parę uinscenizowanych bajek dla dzieci oraz sztukę dla dorosłych p. t. „Sobowtór". Sztuki owej nie widziałem. Opowiadano mi jednak, że jest „niesamowita" i fantastyczna. Przed paru laty wystawiono ją w teatrzyku pani Ireny Solskiej na Żoliborzu. Pamiętam, że była przyjęta przez krytykę bardzo życzliwie i cieszyła się również powodzeniem u publiczności. Pisząc swój „Łańcuch" pani Janina Morawska usiłowała nadaremnie sprzeniewierzyć się swemu wrodzonemu powołaniu bajkopisarskiemu. Zamierzała dać utwór pozbawiony pierwiastka fantastycznego. Pragnęła stworzyć dramat psychologiczny, zaczerpnięty z życia rzeczywistego, przedstawiony na współczesnem tle obyczajowem. (Utwór swój nazwała „sztuką współczesną"). Otóż spełnienie tego zamiaru, niestety, się nie powiodło. Zdradzona przez p. Morawską bajeczność pomściła się srodze i wbrew woli autorki zjawiła się na przedstawieniu, jak niezaproszona wróżka Carabosse na chrzcinach śpiącej królewny.

Naprzekór zamiarowi autorki, kucharka Petronela nie jest kucharką z prawdziwego zdarzenia, ale samą boginią Ananke, przebraną dla niepoznaki w fartuch kuchenny.

Psychologja figur zupełnie fałszywa.

Reżyserja p. Wysockiej, gra p. Solskiej, Smosarskiej, Małyniczowej, Kamińskiej, Rolanda, Woskowskiego, Karczewskiego etc nie potrafiły tchnąć w papierowe postacie prawdziwego życia.

Krzywdę zrobiło p. Morawskiej kierownictwo literackie T.K.K.T. kwalifikując utwór ten do wystawienia na scenie. Należało życzliwie wyperswadować autorce, że sztuka nie jest dostatecznie dojrzała do inscenizacji. Należało wskazać zasadnicze błędy i namówić p. Morawską, żeby utwór swój gruntownie od *a* do *z* przerobiła, albo co lepsza, żeby napisała sztukę zupełnie inną, bardziej zgodną z rodzajem jej talentu.

S. J. G.

MUZYKA

W CZASACH, KIEDY TO DEGAS kazał stawiać pierwsze kroki swoim baletnicom a Manet przepojonemi słońcem plamami malował spotkanie „*Chez le père Le houille*", tak zwana „szeroka publiczność" z warstwami wyższemi demokratycznej Trzeciej Republiki na czele odwracała się od nich, wzruszając ramionami z politowaniem godnem ...politowania, poczem, szła podziwiać w akademickim trudzie poczęte wielkie, bezkolorowe, pełne anegdotycznej treści płótniska.

Minęły lata i historja się powtórzyła. Jak zawsze. Następne pokolenia, nowe „sfery wyższe" i nowa „szersza publiczność" w ten sam sposób reagowały na wystawione prace futurystów, kubistów, konstruktywistów i innych, zapytując, dlaczego się nie maluje tak jak pan Degas, Manet, Monet, Renoir i Cézanne...

Podobnie jest i z muzyką. Jeszcze nie tak dawno Ryszard Strauss straszył burżuazję swemi koncepcjami a dzisiaj w każdym niemal programie stołeczna Filharmonja umieszcza jakiś z jego utworów, nadsłuchując poklasku publiczności.

Na indeksie jest nowa muzyka. I potrzeba jest aż przekonywać, usprawiedliwiać się, tłumaczyć, gdy powstaje dawno przez kulturalny odłam oczekiwana instytucja, która niewątpliwie stanie się ośrodkiem zapładniającym polską twórczość muzyczną.

Prof. Z b i g n i e w D r z e w i e c k i w swem doskonałem przemówieniu na inauguracyjnym wieczorze „Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej" mówił obrazowo, plastycznie ilustrując własnym przykładem historję przekonywania się do nowej twórczości. Mówił, jak to męka studjowania „Masek" i trzeciej sonaty Karola Szymanowskiego doprowadziła w rezultacie do nieoczekiwanego uprzednio rozmiłowania się w tych utworach a poprzez nie i całej rodzącej się sztuce. To też obecnie, otwierając cykl audycyj, Towarzystwo pragnie zdobywać, zdobywać choćby tylko po jednym zwolenniku z pośród słuchających...

Skromne życzenie, a swą skromnością mocno zastanawiające. A więc aż taka jest obojętność czy tępota „oświeconego ogółu" wobec ciekawych poczynań idącego pokolenia, tak mała dbałość, jakie będzie miało ono oblicze i jakie wniesie walory?

A potem to się będzie narzekać na brak wszelkich koncepcyj, a to, że nas inni wyprzedzają, a to, że jak można doprowadzić do takiego stanu i t. d., i t. d.

Odpowiedzialność za losy kultury nie leży wyłącznie na barkach artystów ale i społeczeństwa. Jeśli ono czasami narzeka i słusznie na przebywanie świata twórczego obok życia, to należy się spytać, czy czasami winy, dużej winy niema po stronie narzekających. Należy dbać o bliski a nawet serdeczny kontakt między producentami kultury a jej konsumentami. Tylko wówczas bowiem zniknie ów absurdalny podział. Tworzyć muszą wszyscy, choćby przez stwarzanie atmosfery. A tu — ładna mi atmosfera, gdy się trzeba usprawiedliwiać, że się przystępuje do pracy!

Można się nie znać na sztuce — mój Boże, przecież prawdziwe, dużej klasy znawstwo jest poprostu darem, talentem — ale stanowczo nie należy się chełpić, że się czegoś nie rozumie. Taka chełpliwość ma już swoje właściwe określenie, dosadne ale i trafne: nosi ona miano „kołtuństwa".

Nieimponujące to zjawisko, ale jeszcze niewyplenione, a przeto szkodliwe, zwłaszcza, gdy nasza nowa muzyka jest w swym wyrazie, treści i formie tak polska, jak nigdy nie była od czasów śmierci Moniuszki.

To też, nie negując wcale potrzeby wymiany dóbr duchowych między narodami, pragnęlibyśmy się dowiedzieć, czy z „Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej" została już całkowicie wypleniona „trucizna"—jak się kiedyś wyraził p. Adolf Weissmann z Berlina (czy i dotychczas?). Trucizną ową miała być polityka „...która rzucała swój cień na sztukę". Oczywiście p. Weissmann rozumiał politykę w znaczeniu poczucia narodowego, ponieważ jednak bałamutnie użył ogólnika, my przyjmując podany niezręcznie, jak się obecnie okazuje, termin, zapytujemy narzuconym językiem. Zapytujemy w sposób kategoryczny, bo szczerość poczynań inicjatorów „Międzynarodowego Towarzystwa" była w swej politycznej koncepcji rozbrajająco szczera. A więc (posługujemy się ciągle artykułem tegoż Weissmanna, zamieszczonym w numerze 1-szym miesięcznika „Muzyka", w styczniu 1925 roku) „...w niewielkiej sali salcburskiego Mozarteum, pod przewodnictwem Edwarda Denta postanowiono, że d u c h m i ę d z y n a r o d o w y m u z y k i, który oto tylko co zamanifestował się, b ę d z i e w c i e l o n y w k s z t a ł t S t o w a r z y s z e n i a. Lecz gdzież miałaby

być siedziba tego Stowarzyszenia?" Miejsce to „...powinno było być całkiem niezależne, tronując nad wszelkiemi politycznemi i nacjonalistycznemi sympatjami." I wybrano... Londyn.

„Pierwsza konferencja delegatów, która odbyła się w Londynie w roku 1923, stała się pierwszym widomym znakiem internacjonalizmu Towarzystwa".

Artykuł kończył się takiemi oto refleksjami: „A teraz spójrzmy w przyszłość. Droga M. Tow. M. Wsp. zarysowana jest wyraźnie. Jest ono międzynarodowe w swoim kierunku, ale też zdaję sobie sprawę z tego, jak wielkie są w muzyce wszechświatowej różnice rasowe. W gruncie rzeczy niema muzyki międzynarodowej"... Rezygnacja? Drogą rozumowania logicznego tak, ale nie intencji... politycznej, właśnie owej pańskiej trucizny, panie Adolfie Weissmann! Bo oto o parę wierszy dalej czytamy ni mniej ni więcej, tylko co następuje: „Należało być przygotowanym na to, że w pojedyńczych krajach nacjonalizm przeciwstawi się internacjonalizmowi. Lecz opozycja ta, wypływająca z nieporozumienia lub ducha wstecznictwa, nie osiąga swojego celu"... To było dobre i modne akurat w roku 1925-tym, dzisiaj zaś mocno trąci wypominanem wstecznictwem, wyraźnie: wstecznictwem. A przedewszystkiem *pointe* rozegzaltowanego, humainternacjonalistycznego artykułu: „Tak tedy *International Society for Contemporary Music* (reprezentowana w Centrali przez biuletyn *British* (!) [1]) *Music Society*) stała się potęgą. Stanowi ona muzyczną Ligę Narodów".

W roku 1925-tym można jeszcze było na upartego identyfikować Ligę Narodów z potęgą, ale nie o to dzisiaj nam chodzi, nie o złośliwostki, tylko o sprawę zasadniczą. Artykuł p. Weissmanna cytuję nie po raz pierwszy. Tym razem dla tych, którzy wzięli sobie za cel koordynację wysiłków młodego pokolenia pod niedwuznacznemi auspicjami politycznemi. Zbyt dobrze życzymy młodej muzyce polskiej, ażebyśmy jej nie przestrzegli przed zastarzałemi dzisiaj zasadami, będącemi w dalszym ciągu podbudówką ideową „M. T. M. W.".

Zresztą jesteśmy jaknajlepszej myśli. Nie tak łatwo papierowemi słówkami zabić instynkt decydujący o charakterze twórczości.

W. NARUSZ

[1]) Nacjonalizm, który przeciwstawił się i t. d... — przyp.

FILM

MAJESTIC: „Oczy czarne", reż. Turżański. film francuski. Tym banalnym tytułem ochrzczono interesujący i dobrze zrobiony film. Nie uważam za niezbędne podawania, przy recenzji, treści utworu i często tego nie robię, ale tu zaznajomienie z nią czytelnika staje się konieczne, gdyż zahacza ona o pewne kwestje etyczne. Rozpatrzenie tych kwestyj, bez podania treści, stałoby się niemożliwe.

A więc jest to historja starszego pana (Harry Baur), który ma ubóstwianą córkę, dorastającą panienkę i żyje tylko dla niej. Otacza dziecko zbytkiem, usuwa odeń wszelkie troski. Aby córce zapewnić tego rodzaju życie, pracuje pokryjomu, jako *maitre d'hotel*, w jednej z nawiększych, nocnych restauracyj Petersburga (a trzeba dodać, że film ma za tło Rosję przedwojenną). Oczywiście ta restauracja posiada gabinety, w których niejedno się dzieje, a usłużny i dyskretny *„maitre"*, Iwan Iwanycz, nieźle na tem zarabia. Dramat wybucha z chwilą, gdy jego córka, naiwna panienka, rozkochana pokryjomu przez niemłodego już lowelasa (bankiera) przychodzi z nim w nocy do lokalu, w którym pracuje ojciec. Nieszczęsny ojciec pod obuchem tego ciosu słania się na nogach, czuwa na pół przytomny pod drzwiami gabinetu, za któremi znikła z amantem jego córka. Wie, że wkońcu, gdy gabinet opuszczą muzykanci, służba i chóry cygańskie, a para zostanie sama — nastąpi katastrofa.

W ostatnim momencie wpada do gabinetu i tu następują dwie dramatyczne rozmowy, pierwsza z lowelasem, druga z córką, już w domu. Pierwsza, zagrana znakomicie. ma pełnię ekspresji dramatycznej, lecz wspomniane przez nas komplikacje natury etycznej mieszczą się w drugiej. Córka, jak się okazuje, dziewczyna nie bez charakteru, wyrzuca ojcu, że tak długo i niepotrzebnie ukrywał przed nią istotny stan rzeczy; ojciec powiada, że chciał dla niej innej pozycji towarzyskiej, którejby mieć nie mogła, gdyby wiedziano, że jest córką kelnera, „chociaż — tłumaczy córce — praca kelnera nie hańbi (i napiwki też").

Nie mamy powodu myśleć inaczej; kelnera nie hańbi praca, ale uleganie pewnym pokusom, do których jego zawód dostarcza często okazyj. Współczujemy tragedji osobistej *maitre d'hotel*'a, ale nie możemy zarazem zapomnieć, że on sam był przecież — co tu dużo mówić — rajfurem i totumfackim rozmaitych niebieskich ptaków. Wszystko było dobrze, gdy nie chodziło o własną córkę. Przytem system wychowawczy Iwana Iwanycza nie wydaje się nam najlepszy, takie ułatwianie życia dzieciom stwarza z nich egoistów i jest to dobrze podpatrzony rys, zapewne mimowolnego, okrucieństwa córek wobec rodziców, gdy, jak tutaj, rzucają im w twarz: jedynym człowiekiem, któremu wierzę jest „on", (poznany, mówiąc nawiasem, przed paru tygodniami).

Opracowany przez słabego reżysera, film o podobnej treści, stałby się może zabójczym banałem; w ręku Turżańskiero przeistacza się w interesujący dramat. Dramat ten posiada duże wartości plastyczno-filmowe i bardzo umiejętny montaż, który, dawkując znakomicie poszczególne obrazy i sceny, doprowadza emocję widza do najwyższego napięcia przed rozwiązaniem dramatycznego węzła. W tym momencie na ekranie wszystko niemal nieruchomieje i ta martwota jest dobrze wytrzymana: nie irytuje, tylko jeszcze bardziej podnieca widza, gdyż oznacza ciszę przed burzą.

Rolę córki gra znakomicie Simone Simon, aktorka o rysach nieregularnych, powiedzmy — prawie gminnych, lecz o bezspornym wdzięku i bezpośredniości.

EUROPA: „Rapsodja Bałtyku" reż. L. Buczkowski. Dużo jeszcze wody upłynie, zanim nasi filmowcy zrozumieją, że można zrobić film, nawez dobry, bez kobiet i „amorów". Gdy opinja publiczna, głosy fachowców i prasy przekonały ich wreszcie do tematu morskiego, pojechali nad Bałtyk i zaczęli kręcić. Że jednak nasi filmowcy są b. romansowi, więc zamiast pokazać nam morze i marynarzy, ich życie i pracę, piękno tego życia i cel tej pracy — nakręcono jeszcze jedną tkliwą historyjkę o przeżyciach kilku serc, damskich i męskich. Bardzo ładnie, że młody oficer marynarki nie chce uwodzić ukochanej przyjaciela, ale ostatecznie tak postępują wszyscy porządni ludzie, nietylko marynarze. Morze, jako tło i teren akcji, nie zostało w pełni wyzyskane, dopiero pod koniec film wkracza na właściwą drogę i zaczyna odpowiednio operować materjałem aktorskim.

Jedną z najpoważniejszych wad filmu jest właśnie prymitywizm w posługiwaniu się aktorem. Znowu im każą wygrywać się i „przeżywać". Djalogi brzmią nienaturalnie, rażą niepotrzebną emfazą i sztucznością tekstu. „Dlaczego pan taki smutny?" — pyta panienka. „Zagmatwała się droga mojego życia" — odpowiada młodzieniec. Poco się wygłupiać? Tak nikt nie mówi.

Fotografja naogół dobra i soczysta, z wyjątkiem fotografij aktorek, w nadużywanych niepotrzebnie zbliżeniach. Operator Wywerka jest chyba zakonspirowanym wrogiem pań: zamiast, umiejętnem zdjęciem, zatuszować niedostatki urody kobiecej (a może charakteryzacji), w bezlitosnej i płaskiej fotografji jeszcze podkreśla jej mankamenty. Wszystko to razem działa na nerwy.

Nie denerwuje tylko Cybulski, aktor, który ma przyszłość przed sobą, i on, wraz z tłem i pięcioletnią Lalą Górską, w roli synka, stanowią okrasę tego filmu.

APOLLO, „Panienka z poste-restante". Rzecz sklecona ladajako, o zupełnie prymitywnym montażu. Skutkiem tego można z filmu wyciąć, lub wkleić doń, co się tylko chce, a i tak nikt tego nie zauważy. Wszyscy na tym filmie strasznie się śpieszą, tylko sam film się nie śpieszy i ma b. wolne tempo. Tych niedostatków w kompozycji całości, nie są w stanie wzbogacić wmontowane zdjęcia Budapesztu i Jugosławji (akcja się toczy w podróży). Alma Kar, w stosunku do innych naszych filmowych artystek, wykazuje pewne postępy, nie powinna tylko udawać, figlarnej, roztańczonej szczebiotki, bo nie ma po temu warunków.

KANDYD

POKŁOSIE

„PAX BRITANNICA"

STRASZNIE szybko żyjemy w dzisiejszych czasach i nie potrzebujemy długo czekać na doświadczenia, które w innych epokach przeciągnęłyby się może na okres życia szeregu pokoleń. Nie minęło jeszcze dwudziestu lat od wielkiej mobilizacji całego prawie świata cywilizowanego przeciwko imperjalizmowi Niemiec. Wszyscy pamiętamy jeszcze protesty przeciwko *„pax germanica"*, czy *„pax teutonica"*, jaką Niemcy chcieli narzucić steroryzowanemu światu. A oto dziś w publicystyce zachodniej rozlega się już hasło ostrzegawcze przeciwko *„pax britannica"*, który Anglja innemi nieco środkami chce narzucić na terytorjach przez się wybranych.

„Anglja prowadzi" — czytamy w pasryskiem *„Je suis partout"* — „wielką grę, jak w tych czasach, odległych, czy bliskich, kiedy mnożyła koalicję przeciwko temu, czy innemu ze swych rywali na Południu. Otrzymała już, wzamian za koncesje morskie, których doniosłość świadczy o wadze, jaką przypisuje całej sprawie — całą pomoc, jaką mogą jej okazać Stany Zjednoczone. Żywe tempo monarchicznej restauracji w Atenach zapewnia jej w zadowalającym terminie tysiąc i jedną korzyści wybrzeża greckiego. Egipt, wbrew resztkom agitacji nacjonalistycznej, godzi się, pod pretekstem obrony, z okupacją wojskową, dotychczas niebywałą. Kryzys rządowy, który ma powołać do władzy w Paryżu gabinet wyraźniej anglofilski, jest organizowany według wszelkich prawideł sztuki. Wreszcie ewolucja polityki hiszpańskiej daje całkowitą satysfakcję Anglji".

„Pax Britannica".

Przed paru dniami zacytowano w prasie polskiej wyjątek z nowoczesnej biblji niemieckiej, z książki Hitlera p. t. *„Mein Kampf"* następujący ustęp:

„...Każdą próbę zorganizowania nad niemieckiemi granicami drugiej potęgi wojskowej, chociażby to miało być jedynie tylko pod postacią państwa wojskowo silnego, traktujcie zawsze jako zamach na Niemcy, który wam daje nietylko prawo, lecz także narzuca obowiązek zastosowania wszelkich środków, aż do wojennej przemocy włącznie, celem niedopuszczenia do powstania takiego państwa, a w razie gdyby ono powstało, do jego zniszczenia".

Cytata dla nas szczególnie ważna. Jednakże skoro się zważy, że Hitler jest przecież młodszy, niż polityka brytyjska, tak wyraźnie ukazująca swe oblicze w konflikcie abisyńskim, to trzebaby przyznać, że jest pojętnym uczniem angielskich mężów stanu...

ROZPAD

POŁOŻENIE staje się takie, że opozycji trudno dziś nadążyć w regestrowaniu głosów obozu rządowego, wykazujących ruinę rządów pomajowych.

Dzisiejszy minister skarbu dał w sejmie finansowo ponury obraz sytuacji skarbowej i gospodarczej, do jakiej te rządy doprowadziły. Sanacyjny „Czas" obwieszcza bankructwo ubezpieczeń emerytalnych pracowników umysłowych, imprezy idącej w setki miljonów złotych i dotykającej setek tysięcy pracowników, którym — jeżeli wywody „Czasu" okażą się ścisłe i odpowiadają cichym życzeniom sfer decydujących — zmarnowano oszczędności, a starszym z pośród nich bezpowrotnie zwichnięto plan życiowy, skreślając osiem cennych lat z czasu, w którym mogli myśleć o zabezpieczeniu starości. Nie jest to bagatela i wstrząśnie niewątpliwie silnie opinją.

Nietylko jednak *fiasco* gospodarcze rządów pomajowych bywa dziś przez ludzi tego obozu piętnowane. Surowej ocenie podlegają również moralne podstawy „sanacji". P. Tytus Filipowicz, mąż zaufania *regime*'u, piastujący w swoim czasie wysokie godności (był przecież ambasadorem i to nie byle gdzie, a w Stanach Zjednoczonych) doszedł do przekonania — coprawda po dość długim czasie — i dał temu wyraz w publicznym wykładzie, że z temi moralnemi podstawami jest źle, że jednak *justitia* jest *fundamentum regnorum*, że kradzież głosów przy wyborach powinna być tak samo karana, jak i kradzież pieniędzy, a z Berezą Kartuską trzeba raz skończyć. Przysłuchiwało się temu i biło brawa w miejscach silniejszych szczególnie huczne kilkaset osób ze sfer, jak pisano, legjonowych i peowiackich. Dotychczas te sfery nie wyrażały swego niezadowolenia z *regime*'u. Cóż wstrzymywało ich oburzenie moralne?

Mniejsza z tem. Ważne jest, iż wchodzimy w okres faktycznych obrachunków i „wydzielania płac". W historji naszej mamy tylko jednego władcę, któremu nadajemy przydomek Wielkiego: Kazimierza, a jego tytuł do sławy brzmi, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Dał Jej istotnie nietylko mury materjalne, lecz i siły moralne, dzięki którym mogła po nim wejść w świetny okres Grunwaldu i Wieku Złotego. To jest najważniejsze kryterjum rządów: w jakim stanie zostawiają naród. Dziś u nas obserwatorzy, których „sanacja" uzna niewątpliwie za bezstronnych, stwierdzają rozbicie i zdeprymowanie społeczeństwa. Ciężki to wyrok.

ARGUS

NA MARGINESIE

Legenda jest jak struna — przeciągnięta trzaśnie.

Nie nabijać również zbyt mocno w butelkę, bo pęknie.

*

Pewien dyplomata, proszony przez redakcje o wywiad, na pytanie: kto zapłaci za obecne posunięcia polityczne, odpowiedział telegraficznie:

— Naródbeknie.

Niepodobna tego wyrozumieć, bo oszczędny polityk zrobił ze wszystkiego jeden wyraz.

*

Blok Bezpartyjny zeszedł bezsławnie ze świata, pożegnany przez Sławka.

Chorował na bezpartyjność i przerost bloku. Choroba komplikowała się. Bezpartyjność pociągnęła za sobą bezprogramowość, bezideowość, bezmyślność, bezduszność, bezetyczność bez skrupułu i bezwstyd.

Obarczonemu dziedzicznie potomstwu, w postaci Sejmu i Senatu, grozi cherlactwo.

Koniec wojny trzydziestoletniej (1905 — 1935). Koniec legendy. *Male parta.*

*

Konserwatywny „Czas" — z właściwą sobie elegancją — kreśli epitafjum polityczne b. premjera Sławka. Nie był to — zaznacza z westchnieniem — „mąż stanu". Był to człowiek zbyt łagodny, zbyt łatwowierny, zbyt idealistyczny... Dla swoich przeciwników politycznych (jeśli ktoś o tak gołębiem sercu wogóle potrafi mieć przeciwników) nie żywił w duszy innych uczuć oprócz słodyczy. Nie był wprost zdolny wyobrazić sobie, że ludzie mogą rządzić się innemi pobudkami, niż dobrocią.

Dlatego też, w życiu państwowem, nie umiał nagiąć się do zrozumienia potrzeby, nieraz nawet konieczności czynnika przymusu. Wszystko winno było według niego, dokonywać się dobrowolnie, za popędem tkliwości; nie rozumiał, na co wogóle istnieją takie instytucje, jak np. sądy, policja, więzienia...

Nic dziwnego — kończy „Czas" melancholijnie — że taki idealista-romantyk mógłby rządzić tylko na jakichś Wyspach Szczęśliwości, kędy wszyscy są zacni, godni zaufania, cnotliwi...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.